WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 122 11 PAŹDZIERNIKA 1977 R CENA 1.50 ZŁ

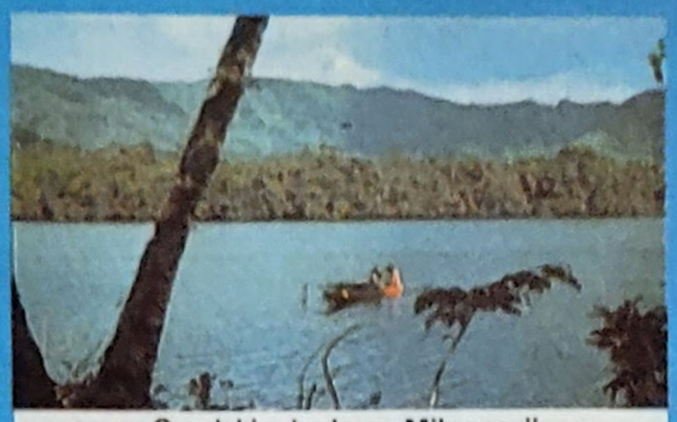

O polskim badaczu Mikronezji przeczytacie na stronie 4

AKADEMIA NAUK W... SZKOLE

CHODZIEŻ (HSI). W Liceum Ogólnokształcącym im. Leona Kruczkowskiego działa Uczniowska Akademia Nauk. Najzdolniejsi uczniowie pracują w czterech działach Akademii: polonistycznym, biologiczno-chemicznym, historycznym i matematyczno-fizycznym. Godność „Jego Magnificencji" sprawuje uczeń kl. IVa, Ryszard Dominiak, natomiast z ramienia Rady Pedagogicznej pracami młodych badaczy kieruje mgr Henryk Zydorczak. Każdy dział ma swojego rektora, koordynującego poczynania swoich podopiecznych. Ci ostatni zajmują się wykonywaniem ciekawych doświadczeń, opracowywaniem szczególnie interesujących problemów i zagadnień ze świata nauki. Szczególną aktywność przejawia dział nauk ścisłych, prowadzony przez mgr Zbigniewa Felcyna. Dział ten stale współpracuje z chodzieską filią krakowskiej AGH, organizuje spotkania z udziałem wykładowców uczelni, jest inicjatorem konkursów fizycznych dla uczniów całej szkoły.

(jar)

TROMMEL donosi: LISTY OD PRZYJACIÓŁ

Aneta Zajdler chodzi do VII klasy Szkoły Podstawowej w Zanderdorfie. Od dwóch lat jest członkiem Klubu Międzynarodowej Przyjaźni im. M. Szołochowa, który istnieje w jej szkole. Działalność klubu jest bardzo bogata. Pionierzy z NRD korespondują z pionierami i komsomolcami z Charkowa, Azowa i Szołochowska. Najbardziej serdeczna jednak znajomość zawiązała się między młodzieżą z klubu o podobnej specjalności ze Szkoły Podstawowej nr 23 w Rybińsku. W swoich listach pionierzy z ZSRR opowiedzieli o przygotowaniach do obchodów 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Przysłali także dokumentalne fotografie z tego okresu oraz kronikę swojej szkoły. (ch)

Ostatnia zbiórka „Gwarków Olkuskich"

OLKUSZ (HSI). W drugą niedzielę września drużyna zuchowa im. „Gwarków Olkuskich" ze Szkoły Podstawowej nr 3 zebrała się na codziennej zbiórce. W dniu tym bowiem wszystkie zuchy miały zostać harcerzami. Pożegnanie ze swoją drużynową odbyło się w Ojcowie, w sali rycerskiej Groty Łokietka. Na „stole" króla paliło się sześć świec, symbolizujących sześć punktów Prawa Zucha. Tutaj również po raz drugi przyznano „Gwarkom Olkuskim" zaszczytny tytuł Drużyny Mistrzowskiej, a kilka zuchów otrzymało odznaki „Zuch na 5".

Aby zostać dopuszczonym do przyrzeczenia harcerskiego, każdy zuch musiał wykonać kilka zadań i przejść przez specjalne próby. Trzeba było śpiewać piosenki, opowiadać górnicze legendy, umieć zorganizować różnorodne zabawy i teatrzyk kukiełkowy. Przyjęcie do drużyny harcerskiej odbyło się w Kopalni Soli w Wieliczce, na poziomie im. K. Świerczewskiego. Przy popiersiu sławnego Polaka zuchy złożyły przyrzeczenie, odśpiewały hymn harcerski i otrzymały krzyże. Od tej pory są już prawdziwymi harcerzami.

Cecylia Głąb

ŚWIĘTO MOKOTOWSKICH HARCERZY

WARSZAWA (HSI). W 10 rocznicę nadania Hufcowi „Mokotów" imienia Szarych Szeregów mokotowscy harcerze obchodzili święto hufca. W programie dwudniowych uroczystości był m. in. apel zuchów przy ulicy Odyńca, w miejscu związanym z historią powstania warszawskiego, capstrzyk na Powązkach przy grobach harcerzy z „Szarych Szeregów" oraz ogniska i kominki w drużynach.

Na stadionie „Warszawianki" odbyła się defilada, a tuż obok harcerska cepeliada. W Izbie Pamięci i Tradycji hufca otwarto wystawę fotograficzną. Całość uświetniły występy zespołu „Kuźnica". **(ap)**

Fot. **K. Adamowski**

JESIENNYM SZLAKIEM

LIDZBARK WARM. (HSI). Corocznie w pierwszych dniach jesieni, Komenda Hufca ZHP im. Gen. Aleksandra Zawadzkiego w Lidzbarku Warmińskim przy współpracy 77 Harcerskiej Drużyny Turystycznej im. M. Zaruskiego działającej przy Młodzieżowym Domu Kultury oraz Miejskiej Rady Przyjaciół Harcerstwa organizują tradycyjny „Rajd Wędrowników".

Młodzież szkół Lidzbarka Warmińskiego i okolicy – członkowie ZHP i PTTK – po raz czwarty uczestniczyła w tym 2-dniowym rajdzie. 10-osobowe zastępy z pełnym turystycznym wyposażeniem, a przede wszystkim z plecakami humoru – wyruszyły na trasę z punktów startowych w Stryjkowie i Rogóźu. Na trasie punktowano ekwipunek, wiedzę o ZHP, sprawność fizyczną oraz dyscyplinę i kulturę zachowania na szlaku.

Wiesław Czermak

Ludowe Wojsko Polskie obchodzi dziś swoje święto.

Dumni jesteśmy ze sprawności i gotowości bojowej naszych żołnierzy, którzy w codziennym trudzie, na najbardziej zagrożonych żywiołową klęską odcinkach, na budowach, na polach, w kopalniach zdają z honorem swój żołnierski egzamin.

W Dniu Ich Święta, w imieniu Czytelników oraz Redakcji, składamy najserdeczniejsze życzenia.

Fot. M. Zbikowski

Dziś przedstawiamy:

KATALONIA

W północno-wschodniej części Półwyspu Iberyjskiego, nad brzegiem Morza Śródziemnego leży kraina zwana Katalonią. W jej skład wchodzą 4 prowincje: Barcelona, Gerona, Lerida i Tarragona. Łącznie, Katalonia zajmuje obszar prawie 32 tys. km kw. Dlaczego tak szczegółowo przedstawiam jej położenie geograficzne? Dlatego, że Katalonia otrzymała niedawno autonomię, warto więc wiedzieć „coś niecoś" o tej krainie, która w średniowieczu stanowiła samodzielne państwo.

Mniej więcej około 800 roku Karol Wielki, który wyparł Arabów z północnej części Półwyspu Iberyjskiego, z obszarów Katalonii stworzył monarchię z Barceloną jako stolicą. Początkowo włączona do marchii Tuluzy, w X wieku zdobyła faktyczną niezależność. Odcięta od innych księstw hiszpańskich Katalonia przez wiele lat utrzymywała ścisłe związki kulturalne z Francją.

W XII wieku Katalonia łączy się z Aragonią, tworząc w ten sposób jedno z największych państw na Półwyspie Iberyjskim w okresie Średniowiecza. I tak jest aż do XV wieku. W tym czasie Barcelona zaliczana jest do grona sławnych miast takich jak: Wenecja, Genua. Tu, w Barcelonie witany był uroczyście Krzysztof Kolumb, po powrocie ze swej pierwszej odkrywczej wyprawy. Później następuje okres centralizacji, poszczególne państwa i księstwa tracą niezależność na rzecz jednej silnej Hiszpanii. Tak było i z Katalonią, chociaż nigdy nie pogodziła się z tym faktem. Raz po raz wybuchały powstania, zawsze zresztą krwawo tłumione przez rząd w Madrycie. Po wielu wiekach walk wolnościowych dopiero w 1931 roku, gdy powstała Republika Hiszpańska, Katalonia otrzymuje autonomię. Jednakże zwycięstwo gen. Franco w wojnie domowej odbiera Katalonii autonomię na wiele lat. Właśnie w tym roku rząd centralny premiera Suareza ogłosił akty prawne uznające autonomię tej historycznej krainy, zachowując dla siebie wszelkie kompetencje w sprawach obrony i polityki zagranicznej.

6-milionowa Katalonia należy do najbardziej uprzemysłowionych części Hiszpanii. Tu np. koncentruje się aż 75 proc. przemysłu włókienniczego. Katalończycy do dziś zachowali odrębność swego języka. (b)

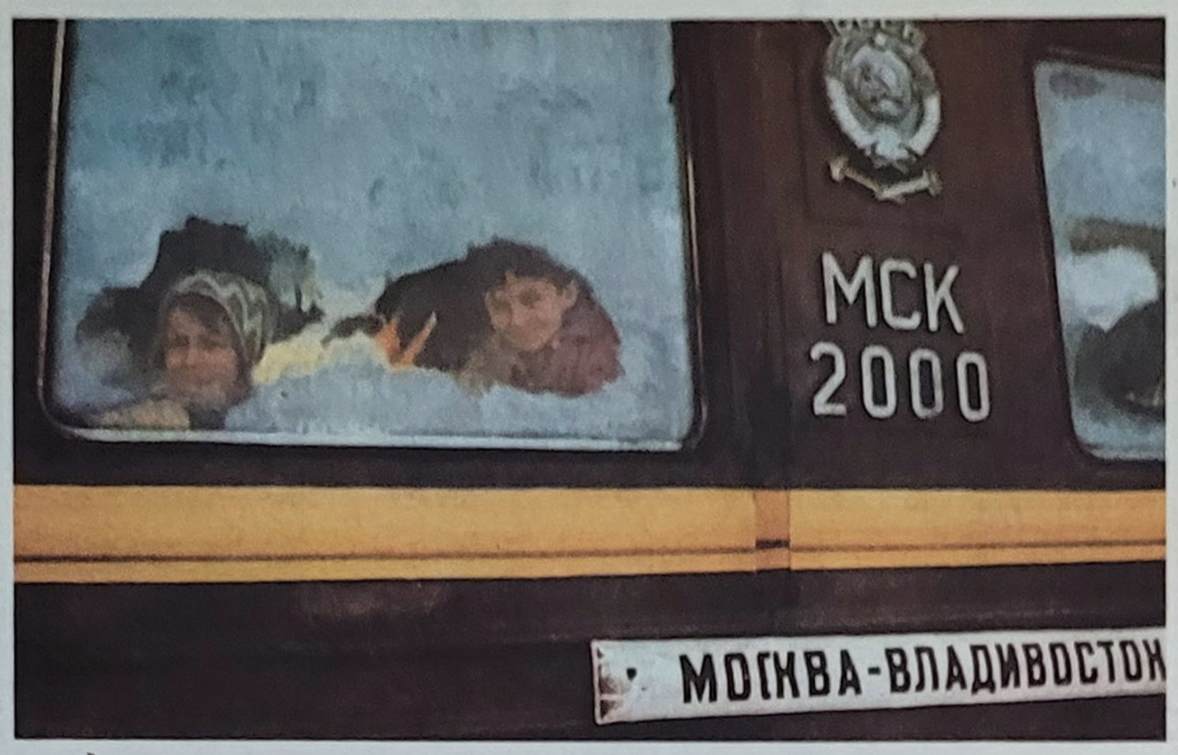

WIELKA TRANSSYBERYJSKA

***„Po odkryciu Ameryki i zbudowaniu Kanału Sueskiego, historia nie odnotowała zdarzenia bardziej wyjątkowego i brzemiennego w skutki niż zbudowanie kolei transsyberyjskiej"* – pisała na początku naszego wieku jedna z francuskich gazet. Minęło wiele lat i...**

Ile jest na naszej planecie linii kolejowych o długości prawie dziesięciu tysięcy kilometrów? Jedna! **Wielka Transsyberyjska Magistrala**. Jej odcinek o długości sześciu tysięcy kilometrów od Moskwy do Pietrozawodska Zabajkalskiego, jest najdłuższą w świecie zelektryfikowaną linią kolejową. Dzięki wprowadzeniu elektrowozów, podróż z Moskwy do brzegów Oceanu Spokojnego skróciła się z 11 do 7 dni. 9308 kilometrów – w 178 godzin. Tydzień w komfortowych przedziałach ekspresu „Rosija" na trasie Moskwa-Władywostok, to nieustanna zmiana wrażeń. Mija się po drodze rosyjskie równiny i Sajańskie Góry, syberyjską tajgę i dalekowschodnie stepy; Wołgę i inne wielkie rzeki: Ob, Jenisej, Amur. Jest po drodze i *„Sławnoje morie – swiaszczennyj Bajkał"* – jak mówią o tym wielkim jeziorze słowa starej rosyjskiej pieśni i w końcu – malownicze wybrzeże Oceanu Spokojnego.

Koleje historii i historia kolei

W czasie rewolucji i wojny domowej, koleją transsyberyjską pędziły transporty rewolucyjnych żołnierzy, później przewoziła ona tysiące budowniczych pierwszych pięciolatek młodego Kraju Rad. W czasie II wojny światowej odegrała ogromną rolę w przerzucaniu na wschód całych fabryk z zachodnich terenów ZSRR zagrożonych niemiecką okupacją. Następnie z tych samych i nowych zakładów przewoziła czołgi, broń i amunicję na front. W pierwszych powojennych latach, popłynęły nią na wschód potoki ludzi i maszyn – zagospodarowywano ugory, budowano nowe miasta, fabryki i kopalnie. Koleją transsyberyjską ściągali na wschód ze wszystkich krańców ZSRR profesorowie i robotnicy, inżynierowie i lekarze.

I teraz spełnia ona ważną funkcję w dalszym, jeszcze bardziej intensywnym zagospodarowaniu wschodnich regionów Kraju Rad.

W drogę...

Za ażurowymi kratownicami mostu prześwieca Wołga, którą niegdyś nazwyno „główną ulicą Rosji". Do dziś zachowała ona duże znaczenie dla europejskiej części ZSRR jako najważniejsza z rzek. Łączy pięć mórz, stanowiąc ważną magistralę transportu wodnego. Jest także, dzięki zbudowaniu na niej wielu hydroelektrowni, wielkim producentem energii elektrycznej.

800 kilometr od Moskwy, pierwsza wielka stacja na trasie – Kazań, stolica Tatarskiej Autonomicznej Republiki Radzieckiej. Stąd już blisko do „drugiego Baku" – wołgo-uralskiego zagłębia naftowego. Właśnie z tego zagłębia płynie rzeka nafty i gazu ziemnego aż do Berlina na zachodzie i Irkucka na wschodzie.

Za nami pierwszy tysiąc kilometrów. Pociąg, w sposób prawie nieodczuwalny, zaczyna wdrapywać się na stoki Uralu. Biegnie czas jakiś granicą między Europą a Azją, by na 1777 kilometrze przeciąć ją. Z okien pociągu można dostrzec kamienny obelisk, stojący właśnie na tej granicy.

Ural – wielka szkatuła pełna skarbów. Tu występuje większość minerałów, z których można by uskładać prawie całą tablicę Mendelejewa. Szczególnie bogaty jest Ural w rudy metali kolorowych i żelaza.

Już na wschodnich stokach Uralu – Świerdłowsk, jedno z kilkunastu radzieckich miast o liczbie mieszkańców przekraczającej milion. Miasto przemysłowe, wśród ponad 200 wielkich fabryk – „Uralmasz", gdzie nie tylko się produkuje ale i konstruuje maszyny-giganty, w tym olbrzymie kroczące koparki. Ale ta „stolica Uralu" słynie nie tylko z przemysłu. Wiele tu uczelni, a także filia Akademii Nauk ZSRR, na bazie której rośnie nowe centrum nauki.

Przez Syberię

3200 kilometr – Nowosybirsk, ponad milion mieszkańców. Jest to ogromny, największy w ZSRR węzeł kolejowy; gdyby wszystkie tory stacji połączyć w jedną linię, to jej długość osiągnęłaby ponad 1500 km. Tu znajduje się słynny na całym świecie „Akademgorodok" – radzieckie centrum naukowo-badawcze.

W „Przewodniku po Wielkiej Kolei Syberyjskiej", wydanym w 1909 roku czytamy: *„Osiedle o nazwie Nowo-Nikołajewsk w 1904 roku otrzymało prawa miejskie. W centrum miasta, rozciągającego się na 10 wiorst, murowana cerkiew... W mieście kilka zakładów przemysłowych, największy z nich produkuje herbatniki. Około 50 tysięcy mieszkańców"*. To właśnie Nowosybirsk, miasto gdzie obecnie jest ponad 200 dużych zakładów przemysłowych, 17 wyższych uczelni i 22 instytuty naukowe.

Pod Nowosybirskiem pociąg przejeżdża nad rzeką Ob, która powierzchnią swych dorzeczy ustępuje jedynie Amazonce, Kongo i Missisipi.

4000 kilometr – Krasnojarsk, nazwa miasta pochodzi od jego usytuowania. Zostało ono zbudowane wśród pięknych jarów, zbiegających do Jeniseju. Tu znajdują się największe w świecie hydroelektrownie: Krasnojarska i Sajańsko-Szuszienskaja (w budowie). Za Krasnojarskiem zaczyna się jakby druga połowa ZSRR, gdyż Jenisej dzieli Związek Radziecki, na dwie w przybliżeniu równe części. Ale do połowy trasy Wielkiej Transsyberyjskiej Kolei, stąd jeszcze daleko. Dopiero w obwodzie Irkuck na niewielkiej stacji Taiszet tory rozdzielają się: jedna linia skręca na południowy – zachód ku zabłębiu węglowemu, druga kieruje się na północny-wschód do Bracka i wielkiego zagłębia rud żelaza. I właśnie Taiszet znajduje się mniej więcej w połowie trasy między Moskwą a Władywostokiem.

5050 kilometr – Irkuck. Tak jak i Brack, miasto ulokowało się nad brzegiem rzeki Angary, wpadającej do Jeniseju. Angara wypływa z Bajkału, podczas gdy wszystkie inne rzeki, a jest ich aż 335, do niego wpadają. Tak jak i inne wielkie rzeki Syberii, dostarcza ona dzięki zbudowanym na jej wodach hydroelektrowniom, wielkich ilości energii elektrycznej, co umożliwia rozwijanie przemysłu w tej olbrzymiej krainie.

Gdy pociąg okrąża południowe wybrzeża Bajkału, pasażerowie nie odstępują okien. Widoki są urzekające i pozostają w pamięci na zawsze. Bajkał zwany „perłą Azji", jest największym w świecie zbiornikiem słodkiej wody – 80% zasobów ZSRR i 20% zasobów światowych.

Daleki Wschód

Tu, gdzie graniczą ze sobą obwody Czyta i Amurski, kończy się Syberia a zaczyna Daleki Wschód ZSRR. To terytorium jest mniejsze od Syberii, ale i tak na jego powierzchni można by zmieścić trzy Europy.

8533 kilometr – Chabarowsk. Założony w 1858 roku, liczył na początku XX wieku zaledwie 30 tysięcy mieszkańców, po 50 latach – 400 tysięcy. Obecnie istnieje tu ponad 100 dużych zakładów przemysłowych, kilka naukowo-badawczych instytutów i ponad 20 wyższych i średnich szkół zawodowych. A wśród nich uczelnia techniczna kształcąca inżynierów kolejowych, którzy stanowią podstawową kadrę kolei transsyberyjskiej. W Chabarowsku magistrala znów się rozdziela, jedna linia – południowa dąży do Władywostoku, zaś druga – północna do Wanino. Oba końcowe punkty trasy, to porty nad Oceanem Spokojnym.

Ostatni peron...

I oto już ostatnie kilometry. Po długim okresie ciemności pociąg wjeżdża z tunelu wprost na wybrzeże Zalewu Amurskiego. Pokryty kurzem 9302 kilometrów, zatrzymuje się przy ostatnim peronie na stacji Władywostok.

Miasto zostało założone w 1860 roku; do Rewolucji Październikowej było jedynym miastem Dalekiego Wschodu Rosji, posiadającym wyższą uczelnię. Obecnie we Władywostoku działa uniwersytet i 7 wyższych uczelni technicznych. Znajduje się tu Dalekowschodnie Centrum Naukowe utworzone w 1970 r. na bazie filii Akademii Nauk ZSRR. Podobnie jak Chabarowsk jest Władywostok wielkim węzłem transportowo-komunikacyjnym. Nie bez powodu nazywany jest „Wschodnią bramą ZSRR". Port morski, wielki port lotniczy... Startując z Władywostoku pasażerowie samolotów, jeszcze tego samego dnia są w Moskwie, czy w innych stolicach europejskich. Ale Wielka Transsyberyjska Magistrala wzmocniona budowaną obecnie Bajkalsko-Amurską Magistralą nie obawia się konkurencji. W dalszym ciągu jest ona najkrótszym lądowym mostem między Europą i Azją. *„Ta kolej stanie się największym traktem handlowym"* – pisał w 1906 roku angielski ekonomista. I miał rację.

Oprac.
JERZY KOWALKOWSKI

Fot. archiwum

Polak – Węgier dwa bratanki

Żaden Polak nie powie, że język węgierski należy do łatwych, to samo mówią zresztą Węgrzy o naszym języku. Żadnych podobieństw, a jednak Polacy i Węgrzy potrafią ze sobą „rozmawiać" i co najważniejsze rozumieć się wzajemnie. Jak to się dzieje, pozostaje tajemnicą. Niektórzy twierdzą, że obopólne sympatie, trwające zresztą od niepamiętnych czasów, czynią tę barierę językową łatwą do pokonania. Coś w tym musi być, skoro przyjaźń polsko-węgierska przetrwała wszystkie próby a w ostatnim, powojennym okresie nabrała nowych rumieńców.

Lubimy się, tak jak dawniej, ale tradycyjną przyjaźń wzmocniliśmy solidną współpracą gospodarczą, naukowo-techniczną, kulturalną i jaką tylko chcecie. Szczególnego dynamizmu współpraca ta nabrała w ostatnich latach. Przyczyniły się do niej zmiany w systemie zarządzania i planowania gospodarką, wprowadzone niemal równocześnie i u nas, i u nich. Żeby nie być gołosłownym – przykłady: w ubiegłej 5-latce założenia dotyczące polsko-węgierskich obrotów handlowych zostały przekroczone o 20 proc., osiągając wartość około 7,5 mld zł dewizowych. Oznaczało to wzrost o 70 proc. w stosunku do lat 1966–1970. W bieżącej 5-latce umowa wieloletnia przewiduje wzrost wymiany o około 53 proc. I znowu, dotychczasowe tempo rozwoju współpracy wskazuje, że plany te zostaną przekroczone. Po 6 miesiącach br. wartość polskiego eksportu osiągnęła sumę 673 mln zł dew., oznacza to wzrost o blisko 31 proc. w stosunku do analogicznego okresu z roku ubiegłego. Tak dynamicznego wzrostu polski handel zagraniczny nie odnotował z żadnym innym krajem socjalistycznym.

W czym specjalizuje się współpraca gospodarcza polsko-węgierska? Przede wszystkim w przemyśle elektromaszynowym. Ta branża daje aż połowę całości wzajemnych obrotów. Współpracujemy również w hutnictwie metali lekkich, m. in. w produkcji aluminium. Węgry, jak wiadomo posiadają dość znaczne zasoby boksytów, surowca potrzebnego do wytopu tego srebrzystego metalu.

Nie mniej ważne są kontakty kulturalne naszych krajów, poprzez które lepiej się poznajemy i rozumiemy. Tylko w roku ubiegłym na półkach węgierskich księgarń ukazały się tłumaczenia książek aż 25 polskich pisarzy, od klasyków takich jak: Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, Sienkiewicz, Żeromski do autorów współczesnych – Marii Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza, Brezy, Hołuja, Lema i wielu, wielu innych. Polakom również znane są dzieła takich pisarzy węgierskich jak: Tibora Dery'ego, Erde Fejesa, Samoggyi Totha i innych. W tym roku w listopadzie obchodzić będziemy wraz z bratnim narodem węgierskim setną rocznicę urodzin wielkiego poety Endre Ady'ego.

Jeszcze większą popularnością cieszą się w obu krajach filmy i zespoły estradowe. Trudno zresztą wymienić wszystkie dziedziny twórczości, które prezentujemy wzajemnie. Tej wszechstronnej wymianie dóbr materialnych i kulturalnych sprzyja bardzo dobra współpraca na najwyższym szczeblu, szefów partii i rządu. Wszystko więc wskazuje, że tradycyjne powiedzenie: Polak–Węgier dwa bratanki... aktualne będzie i w przyszłości.

STANISŁAW BOROWIECKI

LUDZIE, PASJA, PRZYGODA

POJEDYNEK ZE ŚMIERCIĄ

Telefon dzwonił krótko.

– Grupa rozminowania, pomocnik oficera dyżurnego, słucham.

– Czy mógłbym mówić z sierżantem Mazurem?

– Niestety, nie ma, wyjechał na akcję.

Tę odpowiedź słyszałem przez kilka dni, nim udało mi się złapać sierżanta sztabowego Józefa Mazura – dowódcę Warszawskiej Grupy Rozminowania.

Niewysoki, krępy mężczyzna z czarnym wąsem uścisnął mi dłoń. Zadaję mu mnóstwo pytań, bo nie jest skory do snucia barwnych opowieści o swojej pracy, a zwłaszcza o sobie. – Ot, po prostu wykonuję zadanie jak każde inne. Na pytania odpowiada krótko, po wojskowemu.

Dowódcą warszawskiej grupy został przed trzema laty. Przedtem dowodził podobnym zespołem w innych województwach.

Najtrudniejszym zadaniem jakie miał dotychczas, było rozbrojenie poniemieckiego pola minowego. Wszystko tam było pordzewiałe, najmniejsza nieuwaga mogła kosztować życie.

– W takich wypadkach – mówi sierżant Mazur – żeby nie narazić ludzi najlepiej jest całe takie pole wysadzić od razu w powietrze. Ale tam nie mogliśmy tego zrobić, bo za blisko stały zabudowania okolicznych mieszkańców. Wszystko musieliśmy załadować na samochody i przewieźć na poligon. Kiedy na poligonie tę zardzewiałą śmierć zobaczyli inni saperzy, koledzy sierżanta, orzekli, że baliby się tego nawet dotknąć.

Na szczęście pozostałości po ostatniej wojnie w postaci min należą już w naszym kraju do rzadkości. Głos wezwań dotyczy pojedynczych niewypałów i dawnych składów amunicji. Zdarzają się oczywiście i znaleziska nietypowe, jak to ostatnie w fabryce na Okęciu.

– Znaleźliśmy tam pojemniki z gazem drażniącym. Podejrzewałem, że to chloropichlina, a upewniliśmy się kiedy jedna z kapsułek została zgnieciona i wszyscy zaczęli kasłać i kichać.

Można powiedzieć, że grupa nie ma chwili odpoczynku. Jeśli nikt nie zgłasza jakiegoś znaleziska, żołnierze jadą sprawdzać teren przewidziany pod wielką budowę lub pomagają warszawskim zakładom pracy przy wyburzaniu budowli.

Prawdziwej precyzji wymagało wysadzenie starych fundamentów w środku hali fabrycznej. Ostatnio sierżant przeprowadził taką operację w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu. Wyburzenie starej linii produkującej samochody „Warszawa" zajęłoby budowlanym parę miesięcy. Saperzy uporali się z tą pracą w kilka dni. Wywiercili głębokie otwory w betonie, założyli ładunki wybuchowe i po nakryciu fundamentów płytami pancernymi spowodowali wybuch.

– Płyty pancerne tylko podskoczyły do góry – śmieje się sierżant – gdyby nie one sufit hali pofrunąłby wysoko w powietrze.

Ciekawa historia wydarzyła się przy przeszukiwaniach terenów w Kawęczynie przewidzianych pod budowę elektrociepłowni. Wykrywacze min jakoś dziwnie szumiały na całej olbrzymiej przestrzeni.

– Kiedy zaczęliśmy rozkopywać wierzchnią warstwę ziemi znaleźliśmy cały arsenał. Ponad 550 granatów moździerzowych! Na takie ciekawostki „łase" są warszawskie popołudniówki. Przyjechał więc redaktor z „Expressu Wieczornego", opisał, zrobił nawet zdjęcie i pojechał. My szukaliśmy dalej. Nie na próżno. Wydobyliśmy jeszcze 260 pocisków artyleryjskich.

Po kilku dniach zjawił się u mnie pewien starszy pan, mówi, że przeczytał o tym znalezisku w „Expressie" i... opowiada jak w czasie obrony Warszawy, we wrześniu 1939 roku pracował w mieszczącej się obok tych terenów fabryce amunicji. Tam właśnie zakopał własnoręcznie kilkaset pocisków artyleryjskich! Uspokoiłem go, że ukrytą przez niego amunicję również znaleźliśmy.

Prawie każdego dnia mamy pełne ręce roboty. Wczoraj np. rozbroiliśmy bombę lotniczą znalezioną na Żeraniu. Potem jeden niewypał w podwarszawskim lesie, a na koniec te chemikalia na Okęciu.

Nie kończymy jednak naszej rozmowy. Grupa otrzymuje nowe zgłoszenie. Uczeń szkoły podstawowej w Choszczówce znalazł niewypał.

Jedziemy. Grupa składa się z 4 saperów i 2 kierowców. Do większych akcji wyjeżdża samochód ciężarowy z płytą pancerną chroniącą szoferkę. Tym razem wystarczył „łazik".

Ze szkoły zabieramy chłopca, który pokaże nam drogę. Zajeżdżamy na miejsce. Jest! Zagłębiony do połowy w ziemi, straszy swoim zardzewiałym cielskiem kalibru 105 mm. Sierżant rozpoznaje szybko rodzaj pocisku, wydaje rozkazy. Pomaga żołnierzom rozkopać delikatnie rękami ziemię. Saperzy ostrożnie przenoszą niewypał, grożący w każdej chwili wybuchem, do samochodu i układają w skrzyni z piaskiem. Teraz pojedzie na poligon, gdzie zostanie zniszczony.

Coraz więcej zgłoszeń o znalezieniu niewypałów napływa od młodzieży. Dobry to znak. Akcje propagandowe i uświadamiające na te tematy dają coraz lepsze efekty. Nieliczne stają się przypadki zabawy niewypałami przez dzieci. Miejmy nadzieję, że niedługo w ogóle nie będą miały miejsca.

– Niestety – mówi dowódca saperów – mamy jeszcze przykłady głupoty i to ze strony dorosłych. Ostatnie takie wydarzenie miało miejsce w Ostrołęce. Dorosły człowiek, ojciec dzieci przyniósł do domu granat moździerzowy i przy próbie rozkręcania, został bardzo ciężko poraniony, a małe dziecko zabite.

Nie szkodzi więc, że zdarzają się niekiedy fałszywe alarmy. Raz była to pływająca boja wzięta za minę na Wiśle, innym razem wprawne oko sierżanta Mazura rozpoznało, że z ziemi wystaje nie statecznik bomby lotniczej lecz wirnik od pralki.

Są także znaleziska o znaczeniu historycznym. Niejedną taką rzecz saperzy przekazali do Muzeum Wojska Polskiego. Ostatnio była to łącznica polowa i telefony naszej przedwojennej armii. Ale na ogół placówka ta posiada tak różnorodną kolekcję, że trudno ich zaskoczyć jakimś odkryciem.

Pewnego razu saperzy musieli wybudować specjalne rusztowanie, aby móc załadować na samochód kilkutonową bombę lotniczą znalezioną na ulicy Bonifacego. Była tak wielka, że kiedy na poligonie wysadzono ją w powietrze, do saperów przybiegł szef poligonu, krzycząc już z daleka, że następnym razem zapłacą za szyby, które o mały włos nie wyleciały w zabudowaniach.

Po głośnym wypadku, wybuchu granatu w jednej z przyszkolnych izb pamięci, saperzy obejrzeli wiele takich „pamiątek" w warszawskich szkołach. Trzeba tu otwarcie powiedzieć, że musieli rozbroić wiele niewypałów służących jako eksponaty, a były wśród nich nawet granaty ręczne ze sprawnymi zapalnikami.

Warszawska grupa rozminowania jest także w stałym kontakcie z Hutą „Warszawa". Bywają bowiem przypadki, znajdowania niewypałów w złomie przywiezionym dla pieców hutniczych. Ostatnie jednak wezwanie nie było zbyt groźne, bowiem znalezione miny okazały się ćwiczebnymi.

Żona sierżanta, nie jest zadowolona z rodzaju pracy męża. Ale po trosze zdążyła się już przyzwyczaić. Dwie małe córeczki również nie mają wielkiej pociechy z ojca, który jest gościem w domu. Nie zna przecież godziny ani w dzień, ani w nocy, kiedy będzie musiał wyjechać na akcję.

Naszą rozmowę przerywa natarczywy dzwonek telefonu.

– Tak... Na jakiej ulicy? – dopytuje się sierżant Mazur. – Zaraz tam będziemy.

Kilka krótkich rozkazów. Za chwilę Warszawska Grupa Rozminowania znowu będzie w drodze.

JANUSZ ORŁOWSKI
Fot. **CAF**

VII WTP ZAKOŃCZONY

PONOWNE ZWYCIĘSTWO „SOKOLIKÓW"

- SERDECZNE PRZYJĘCIE W NRD
- TRENER JERZY KLEPACKI MIAŁ RACJĘ
- OD 0:1 DO 4:2 NA STADIONIE W KROSTIZ
- DO ZOBACZENIA ZA ROK!

Pierwsze minuty meczu są niezwykle denerwujące. Można odnieść wrażenie, że polska drużyna jest zdenerwowana żywiołowym dopingiem sympatyków zespołu NRD. Wprawdzie **„Sokoliki" Sokółka** stwarzają kilka groźnych sytuacji pod bramką **Michaela Pfennigsdorffa,** ale nie potrafią zmusić go do kapitulacji. Pomni niedawnej porażki w Piotrkowie Trybunalskim (1:6) reprezentanci szkoły im. **Frideryka Wolfa z Krostiz** komasują własną obronę. Dostępu do bramki chronią nawet ich napastnicy. Tłok pod niemieckim polem karnym niesamowity. Szkoda, że w takich momentach biało-czerwoni nie strzelają z dalszych odległości, że są mało zdecydowani przy wykończaniu własnych akcji. Jednak z upływem czasu coraz bardziej uwidacznia się przewaga „Sokolików". Są szybsi od swoich rywali, lepiej wyszkoleni technicznie i – co najważniejsze – grają zespołowo. Cóż z tego? Swojej wyższości nie mogą udokumentować celnymi trafieniami.

Gospodarze atakują tylko z wypadów. Niektóre z nich są bardzo niebezpieczne, a ten przeprowadzony w 26 minucie spotkania uwieńczony jest zdobyciem gola. Polski bramkarz, **Czesław Kozioł,** nie może sparować mocnego strzału lewoskrzydłowego drużyny NRD, **Andreasa Haynitscha.** 0:1. Na trybunach istny szał radości i... objawy zdenerwowania w szeregach „Sokolików". Takim rezultatem kończy się pierwsza połowa meczu.

W przerwie spotkania trener sokółczan, pan **Jerzy Klepacki,** uspokaja swoich podopiecznych. Twierdzi, że pojedynek jest do wygrania, wraz z chłopcami analizuje dotychczasowe błędy. Dokonuje też korekt w ustawieniu drużyny. Na boisko, na pozycję lewego pomocnika, wchodzi **Cezary Kondrusiewicz.**

Pomogło. W drugiej części meczu Cezary, czyli popularny „Kalek", wspaniale rozgrywa piłkę. Potrafi też znaleźć lukę w zespole przeciwnika, wyjść na wolną pozycję. Na rezultat przedsięwzięcia polskiego trenera nie czekamy zbyt długo. W naszej „jedenastce" zapanował ład. Pięć minut po gwizdku sędziego, **Jarosław Dowgiert** zdobywa pięknego gola. Dosłownie w chwilę później **Bogdan Krzysztof** jeszcze raz posyła piłkę do niemieckiej siatki. Trybuny zamilkły, „Sokoliki" panują na całej długości i szerokości boiska. Stało się jasne, że tylko oni mogą odnieść zwycięstwo. I rzeczywiście. Nie pomagają piękne parady i pełna poświęcenia gra bramkarza gospodarzy. Nie na wiele się zdają wysiłki i ambicja całej drużyny NRD. **Wojtek Kułak,** „król" strzelców naszego krajowego finału, daje o sobie znać. Jest 3:1. Ten wynik, na 4:1, podwyższa zdobywca pierwszego gola, Jarosław Dowgiert.

Kiedy do końca meczu pozostało już tylko 2 minuty obserwujemy atak gospodarzy. Po dość składnej akcji **Uwe Deich** ustala wynik spotkania na 4:2.

Trzeba przyznać, że zwycięstwo „Sokolików" jest w pełni zasłużone. Pod wieloma względami okazali się drużyną lepszą. Ale i zawodnicy NRD pokazali dobry futbol. ich kontrataki, prowadzone głównie lewą stroną boiska, świadczą o sporych umiejętnościach piłkarskich. W zespole niemieckim najlepiej zagrał bramkarz Michael Pfennigsdorff. W drużynie polskiej trudno jest kogokolwiek wyróżnić. Cały zespół, w jednakowym stopniu, zasłużył na słowa pochwały. Gratulujemy „Sokolikom" sukcesu. Nie sprawili nam zawodu również poza boiskiem.

Emocji sportowych było sporo. Jednak nie zabrakło i innych atrakcji. Niezwykle gościnni gospodarze nie szczędzili niczego, aby umilić nam pobyt w Krostiz i w Lipsku. Była dyskoteka (tylko dlaczego zrejterował z niej bohater z boiska – Czarek Kondrusiewicz), odbyliśmy przejażdżkę końmi, zwiedziliśmy obiekty sportowe Lipska i piękne okolice. Z żalem opuszczaliśmy Krostiz. Ale mówiliśmy „do zobaczenia". „Sokoliki" chcą się zrewanżować podobnym przyjęciem.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. autora

Prezentujemy triumfatorów

„Sokoliki" są harcerskim zespołem piłkarskim przy Szkole Podstawowej nr 1 w Sokółce. W rozgrywkach o puchar „ŚM" zwyciężyli już dwukrotnie, pierwszy raz w 1973 roku. W bieżącym roku zajęli drugie miejsce w bojach o puchar „Przeglądu Sportowego" i TVP. Cztery lata temu zdobyli w tych rozgrywkach pierwszą lokatę. Dyrektorem SP-1 Sokółka jest pan Henryk Cudnik, a trenerem zespołu – pan Jerzy Klepacki. Oto skład drużyny: Wojtek Kułak, Bogdan Krzysztof, Jarosław Dowgiert, Bogdan Bałakier, Wojtek Dąbała, Krzysztof Czaplejewicz, Andrzej Łukaszewicz, Jacek Ignatowicz, Jarosław Breluk, Adam Włodyko, Czesław Kozioł, Jarosław Kurcewicz, Cezary i Krzysztof Kondrusiewiczowie, Jan Dechnik okraz Lucjan Martens.

Opinie ekspertów

HOPE WERNER – trener zespołu Krostiz:

– Widziałem wiele zespołów szkolnych. Muszę przyznać, że „Sokoliki" wywarły na mnie największe wrażenie. Tak doskonale rozumiejącej się dziecięcej drużyny nie oglądałem nigdy dotąd. Po wysokiej porażce na terenie Polski w rewanżu liczyłem na remis. Mój zespół zrobił wszystko na co było go stać. Przegraliśmy zasłużenie.

JÓZEF ZALEWSKI – inspektor oświaty i wychowania w Sokółce:

– Avy dojechać do Krostiz musieliśmy pokonać około 900 km. To była wyczerpująca podróż. „Sokoliki" zagrały jednak dobry mecz. Miło było oglądać pojedynek przyjaciół, walkę fair i zaciętą do ostatniego gwizdka sędziego. Chociaż wygraliśmy i liczy się wynik, uważam, że w takich meczach nie ma pokonanych.

MICHAEL JAHN – red. sportowy „Trommla":

– Mogę tylko powtórzyć słowa trenera naszej drużyny. Triumfatorzy rozgrywek mojej readakcji nie mogli zagrozić „Sokolikom". Gratuluję wam zwycięstwa, a chłopcom kolejnych sukcesów. Myślę, że o wielu z nich jeszcze usłyszę. (zp)

JERZY KLEPACKI – trener „Sokolików":

– Prawdę powiedziawszy mogliśmy wypaść jeszcze lepiej. Słabo zagraliśmy w pierwszej połowie meczu, co zresztą odbiło się na rezultacie. Cieszę się, że chłopcy nie załamali się psychicznie, że po przerwie „zaskoczyła ich maszynka". Zadowolony jestem, że nie zawiedliśmy zaufania „Świata Młodych" i setek zespołów uczesniczących w tegorocznym turnieju naszej harcerskiej gazety.

REDAKCYJNA POCZTA

Ciągle się kłócimy

Jesteśmy uczennicami VII klasy i od dwóch lat przyjaźnimy się. Często jednak z błahych powodów dochodzi między nami do konfliktów. Jedna chce być mądrzejsza od drugiej i przez tę rywalizację wybuchają kłótnie. Po paru godzinach godzimy się, ale co z tego, gdy następnego dnia sytuacja się powtarza. Po każdej kłótni obiecujemy sobie, że to już ostatni raz, ale żadna nie potrafi wytrwać w tym postanowieniu. Prosimy więc, wydrukujcie nasz list. Może znajdzie się ktoś, kto da nam skuteczną radę na rozwiązanie naszego problemu.

Viki i Kinga z Torunia

Nieprzewidziana dopłata

Jestem uczennicą VIII klasy Szkoły Podstawowej nr 1 w Leszczynach. Chodzę też do Państwowej Szkoły Muzycznej w Rybniku, do której dojeżdżam autobusem. We wrześniu, w związku ze zmianą legitymacji, nie zdążyłam wykupić biletu miesięcznego i to stało się przyczyną przykrego zdarzenia, jakie miało miejsce parę tygodni temu. Wyszłam wtedy ze szkoły trochę spóźniona i prawie w ostatniej chwili udało mi się wbiec do autobusu. Poprosiłam kierowcę o sprzedanie biletu. Jakie było moje zdziwienie, gdy kazał zapłacić o 2 złote więcej niż innym pasażerom – łatwo się domyśleć. Poczułam się pokrzywdzona i poprosiłam o wytłumaczenie. Kierowca trwał jednak przy swojej decyzji i nie podał żadnego jej powodu. Zapłaciłam więc całą sumę, ale płakać mi się chciało, nad tak nieuczciwym stosunkiem do dzieci. Jeśli wydrukujecie mój list, to może takie przypadki nie będą miały więcej miejsca.

Danuta Bombik

OD REDAKCJI: Autorkę listu prosimy o podanie dokładnego adresu, a także wszystkich szczegółów na temat opisanego wydarzenia (napisz czy na przystanku PKS, na którym wsiadłaś, znajduje się biletowa kasa). Interesuje nas zwłaszcza miejscowość, w której wsiadałaś, godzina odjazdu, a także przystanek docelowy. Prosimy także o podanie trasy przejazdu i faktycznej ceny biletu.

Janusz Wolniewicz pisze z Mikronezji

PONAPE
WYSPA KUBAREGO

Ponape uchodzi za najpiękniejszą z wysp Archipelagu Karolińskiego należącego do Mikronezji. Idealnie okrągła, otoczona koronką kolorowych raf, porośnięta w wielkiej części tropikalnym lasem – jest niemal idealnym obrazem rajskiej wyspy na Pacyfiku, tej z książek, z filmów.

Życie ludności ponapejskiej, w liczbie około 17 tys. osób też uznać można za sielskie, a w każdym razie za pozbawione większych trosk, gdyż żyzne ogrody dostarczają pod dostatkiem pożywienia – taro, owoców drzewa chlebowego, kokosów; morze bogate jest w ryby. Ostatnio po uruchomieniu przed 7 laty lotniska mogącego przyjmować odrzutowce także turyści stają się źródłem utrzymania. Dla nich to, poza usługami, produkuje się tu wyroby miejscowej „Cepelii", na dobrym jeszcze, nie nadgryzionym zbytnio przez komercjalizm poziomie.

Na Ponape ciągle jeszcze istnieją klany, dawne obyczaje i wzajemna życzliwość. Druga wojna światowa, która zmiotła na wielu wyspach Mikronezji wszystko, czasem łącznie ze skałami, szczęśliwie ominęła Ponape. Wielopokoleniowe rodziny żyją tu pod jednym dachem, wieczorem przy dźwięku gitar popija się sakau czyli kava, napój rozpowszechniony w całej Oceanii.

Ponape zwana „najpiękniejszym ogrodem Mikronezji" dla nas, Polaków, jest przede wszystkim wyspą Jana Stanisława Kubarego, warszawianina, jedynego Polaka, który ma swój pomnik na wyspach Pacyfiku. Ponape stała się jego drugą ojczyzną, ziemią ukochaną, w której został pochowany. Jakież to losy zapędziły Polaka niemal przed stu laty tak daleko od wiślanego brzegu?

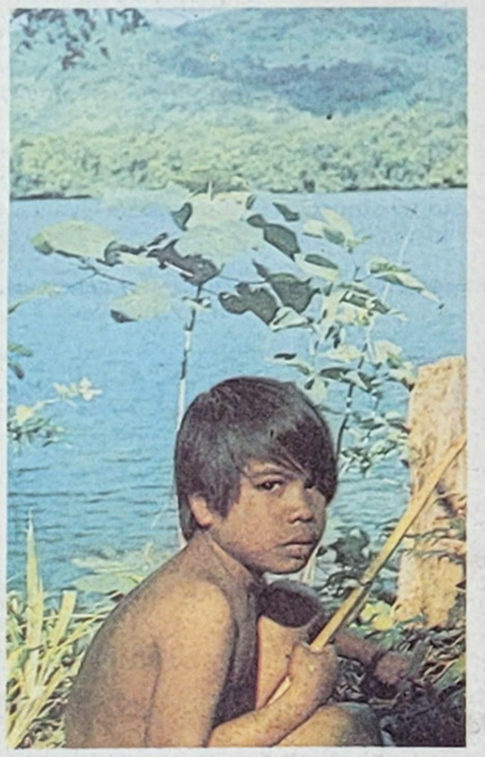

Jan Stanisław Kubary urodził się w Warszawie w roku 1846; matka była z pochodzenia Niemką, ojciec Polakiem. Po śmierci ojca, Kubary miał wówczas lat sześć, matka wyszła powtórnie za mąż za warszawskiego szewca Tomasza Marcinkiewicza. Jego pracownia mieściła się przy ulicy Daniłowiczowskiej pod 8, w znanym domu „Pod Królami". W tym historycznym budynku Kubary spędził dzieciństwo i młodość. W szóstej klasie gimnazjum Kubary zostaje wciągnięty przez ojczyma do ruchu niepodległościowego i bierze aktywny udział w powstaniu styczniowym, gdzie, jak na swoje 16 lat, pełni bardzo odpowiedzialne funkcje. Po upadku powstania wraz z masą emigrantów politycznych ląduje w Dreźnie. W Niemczech właśnie następuje przedziwny fakt, mający zaważyć na całym życiu Kubarego. Młody człowiek zgłasza się do konsulatu rosyjskiego i zostaje konfidentem zaborcy. Być może do tego kroku pchnęła go tęsknota za matką i chęć powrotu do ojczyzny, być może namówili go krewni zamieszkali w Niemczech. Kubary współpracuje przez jakiś czas z policją carską jako student wydziału medycznego Szkoły Głównej w Warszawie, ale w marcu 1868 roku zrywa wszystkie więzy z Polską, z zaborcami i ucieka pieszo (!) do Berlina. Po pierwszym trudnym okresie uzyskuje zatrudnienie w słynnym wówczas hamburskim domu handlowym „króla Pacyfiku" Cezara Godeffroya, który obok robienia świetnych kokosowych (dosłownie) interesów, miał fantazję być również opiekunem nauk przyrodniczych i etnograficznych na morzach południowych. Jako zbieracz eksponatów z Oceanii Jan Kubary, 23-letni młodzieniec o wybitnych uzdolnieniach językowych, wyjeżdża w maju 1869 roku z Hamburga na Samoa zwane wówczas Wyspami Żeglarskimi. Tak rozpoczęła się kariera naukowa wybitnego polskiego badacza, który niemal pełne 28 lat spędził na Mikronezji, aż do przedwczesnej śmierci w roku 1896.

W czasie wieloletniego pobytu na Oceanii Kubary dwukrotnie, lata 1875 i 1894, odwiedził Polskę, aby wziąć udział w Zjazdach Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie, gdzie wygłaszał referaty i stwierdzał, że w tak odległym terenie reprezentuje polską myśl naukową. Dorobek naukowy Kubarego jest rzeczywiście imponujący. Pisali o nim w superlatywach nie tylko naukowcy polscy m. in. Krzywicki, lecz również wybitni etnografowie holenderscy, niemieccy, jak chociażby Krämer, który powiedział, że „dla zbadania Wysp Karolińskich Kubary położył zasługi nieśmiertelne". Dziś więc każda praca poświęcona Mikronezji zawiera zwroty w rodzaju „jak informował Kubary", „według opinii Kubarego" itp.

Kubary, Polak w służbie niemieckiej, niezależnie od wielkich osiągnięć naukowych był postacią tragiczną. Całe życie borykał się z trudnościami finansowymi, z intrygami Niemców, którzy nie mogli darować mu życzliwego stosunku do krajowców oraz faktu „że jedząc niemiecki chleb pragnie umrzeć nad brzegami Wisły". Kubary zmarł najprawdopodobniej śmiercią samobójczą na grobie swego syna, którego pochował na Ponape. Tam również ożenił się z Anną Jelliote, pół-Mikronezyjką, córką misjonarza Kościoła Metodystów. Żona Kubarego zmarła w roku 1937, a ich córka Bella dopiero przed kilku laty jako przeorysza zakonu w Singapurze.

O wadze dorobku naukowego świadczy pomnik wystawiony Kubaremu na Ponape przez komitet składający się głównie z naukowców niemieckich; o jego przyjaźni z krajowcami, więzach niezwykłych w owych okrutnych, pełnych pogardy czasach kolonializmu świadczy inny fakt. W roku 1899 Hiszpania sprzedaje Karoliny Niemcom. Ręka Prusaków także tutaj w stosunku do krajowców nie jest lekka. W 1910 roku wybucha na Ponape powstanie przeciw okrutnej władzy. Na czele tego ruchu staje krajowiec, który przybrał pseudonim „Kubary". Niemcy z całym okrucieństwem, przy użyciu okrętów wojennych, likwidują powstanie, a siedemnastu wybitniejszych przywódców, w tym „Kubarego", rozstrzeliwują. Trzy lata później kończy się imperium kolonialne cesarskich Niemiec na Mikronezji. Ich miejsce zajmują Japończycy.

Natychmiast po wyszukaniu kwatery barego jest rzeczywiście imponujący. Pi- w Kolonii, stołecznej osadzie wyspy – zacząłem rozpytywać o pomnik Kubarego. Na schematycznej mapce turystycznej nic takiego nie zaznaczono. Dopiero czwarta z kolei zagadnięta osoba – starszy mężczyzna odpowiedział, że „coś takiego" jest w pobliżu katolickiej misji.

Istotnie, obok resztek hiszpańskiej fortalicji i starej dzwonnicy kościoła, tkwiła w wysokiej trawie sterta niedbale ułożonych bazaltowych ciosów zwieńczonych u góry spiżową przekrzywioną tablicą, przedstawiającą mężczyznę w okularach. Pod spodem napis „John Stanislaus Kubary 13 Nov. 1846 – 5 Oct. 1896". W fatalnym stanie jest obecnie pomnik człowieka, który uznany został za naukowego odkrywcę Karolin.

Fot. **autora**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

DYPLOM Z BOLESŁAWEM

Lichtarze, papierośnice, medale, bransoletki, naparstki, pierścionki, igielniki, sygnety, odznaczenia, monety, łańcuszki, sztućce, torebki, zegarki, puchary, zastawa stołowa...

Srebro. Setki, tysiące przedmiotów. 61 skrzyń o łącznej wadze 2350 kg. Są wśród tych skarbów arcydzieła sztuki jubilerskiej, są przekazywane z pokolenia na pokolenie pamiątki rodzinne, są też najzwyklejsze rzeczy codziennego użytku. Najbardziej wzruszające.

Gdy cień wojny kłaść się począł na Europę, ofiarowano je na Fundusz Obrony Narodowej. Dar serdeczny.

Muzeum Wojska Polskiego. Przed salą, gdzie wystawione są srebra – długa, poskręcana kolejka. Może dwieście, może trzysta osób. Ścisk. Nim stanie się przed gablotami trzeba czekać – 40 minut, godzinę. Tak jest w dzień powszedni. W niedzielę chętnych na zwiedzanie wystawy jest kilkakrotnie razy więcej. Dorośli, młodzież, wycieczki, całe rodziny.

Skąd takie zainteresowanie? Skąd chęć zobaczenia przedmiotów, które przecież nie liczą sobie zbyt wiele lat, wcale nie są inne od tych, które spotkać można jeszcze w niejednym domu.

... To nieważne jak się nazywam. Niech pan napisze *„licealistka"*. Dlaczego tu przyszłam? Chyba z ciekawości. O tym, że było coś takiego jak Fundusz Obrony Narodowej dowiedziałam się dopiero niedawno. To bardzo dziwna wystawa. Przecież wiele z tych przedmiotów nigdy nie znalazłoby się w muzeum. Ani ładne, ani zabytkowe. A jednak? Stały się takie ważne, bo ofiarowano je krajowi i ten piękny gest uczynił z tych najzwyklejszych rzeczy pamiątki narodowe. To śmieszne, ale chcę tę wystawę zobaczyć jeszcze z innego bardzo banalnego powodu: jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takiej ilości srebra.

*... **Starsza kobieta:*** jestem tu już piąty raz. Wzruszające są te dary, gdy patrzę na nie przypomina mi się atmosfera miesięcy tuż przed rozpoczęciem wojny. Staje mi przed oczyma Kraków z końca lat 30-tych. Życie toczyło się normalnie, a jednak wyczuwało się niepokój. Jest takie zdjęcie na wystawie: ulica w Krakowie, na środku skweru wielki termometr z napisem „temperatura uczuć mieszkańców Krakowa", a nad tym „pożyczka obrony przeciwlotniczej". Kilka razy dziennie przechodziłam koło tego miejsca. Gdy patrzę na tę wystawę, to znów jakby przeżywam tamte dni.

Niezręczne są moje pytania. Zbyt ostre, zbyt dosłownej wymagające odpowiedzi. Prowokują wspomnienia, często bolesne, smutne opowiadania o losach ludzi. Te srebra były pierwszą ofiarą, jakiej zażądała wojna, zachłannie potem zabierając wszystko: radość, młodość, najbliższych, dom rodzinny.

Płk. Żukowicz. (Muzeum Wojska Polskiego) – Mam tutaj kilkadziesiąt wypowiedzi zwiedzających. Ogromna większość uważa, że wystawa oddaje nastrój, temperaturę uczuć społeczeństwa w tamtych przedwrześniowych dniach. Proszę zwrócić uwagę jak ogromnie skrupulatnie, dokładnie starsi oglądają wszystkie eksponaty. Ilu szuka swoich nazwisk na listach ofiarodawców. Codziennie przychodzi tu do mnie kilka osób – dopytują się o niektóre eksponaty. Chcą sprawdzić swoje przypuszczenia, pamiętają, że podobne przedmioty były kiedyś w ich rodzinnych domach i zostały ofiarowane na FON.

Powoli kolejka przesuwa się do przodu. Zbliżamy się do wejścia na sale. Cichną rozmowy. Niekończący się szereg ludzi przesuwa się wzdłuż podświetlanych gablot. Zaraz w pierwszej, na wierzchu sterty monet leży srebrna tabliczka z ozdobną dedykacją: „w rocznicę srebrnych godów Cecylii i Jana Pobratynów". Czyż trzeba szukać wymowniejszego symbolu wystawy.

Nie opodal w małej gablocie pożółkłe dokumenty. Jest ich tylko kilka.

„Komunalna Kasa Oszczędności w Śniatynie 25.08.1939. Potwierdza się odbiór monet niklowych i miedzianych złożonych przez Tadzia Myślika na Fundusz Obrony Narodowej".

Dyplom z kolorowym wizerunkiem Bolesława Chrobrego wydany przez Publiczną Szkołę Powszechną w Mosinie.

„Maciejewski Zbigniew uczeń VIa brał czynny udział w zbiórce żelastwa, szmat papieru, szkła na Fundusz Obrony Narodowej. Ze sprzedaży powyższych odpadków uzyskano kwotę zł. 900".

Odnalazłem ***Zbigniewa Maciejewskiego.***

Święto pieczonego ziemniaka

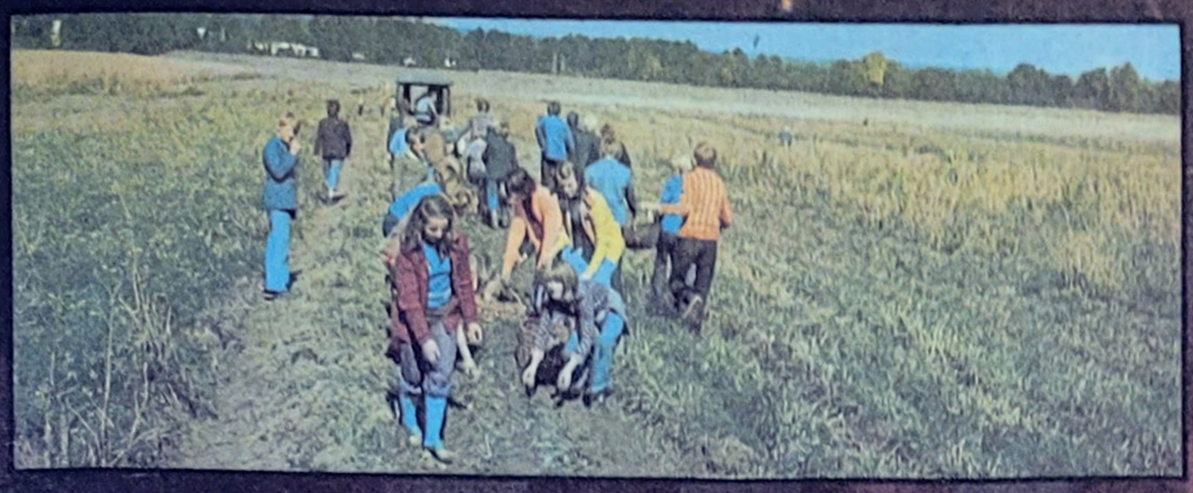

Wykopki trwają. W czasie jesiennej przerwy w nauce wielu uczniów pracowało na polach. I oczywiście, obowiązkowe jest zawsze ognisko z pieczonymi ziemniakami. Po pracy smakują znakomicie.

Harcerze ze szczepu im. T. Kościuszki w Maciejowicach cały dzień pomagali w wykopkach indywidualnym rolnikom. Dodatkowe ręce do pracy bardzo się przydały, bo nie na wszystkie pola mogły wjechać kombajny. Tradycyjnie, przy ognisku rozpoczęło się święto pieczonego ziemniaka. Starczyło dla wszystkich.

Fot. Kajetan Adamowski

CHROBRYM

– ... Dyplom matka przechowała w czasie wojny, dostałem go od niej na początku lat pięćdziesiątych. A do zbiórki namówił nas nauczyciel od historii. Nazywał się Gołaś, imienia już nie pamiętam. Przyjaźnił się z nami, często zapraszał do swojego mieszkania. Dużo mówiliśmy na tych spotkaniach o Polsce, o trudnym położeniu kraju. Nauczyciel opowiadał nam, że zapisał się do tzw. żywych torped specjalnej broni, którą przygotowywano na wypadek wojny. W czasie takich spotkań zrodził się pomysł abyśmy zbierali złom, makulaturę i za pieniądze ze sprzedaży kupili karabin maszynowy dla wojska. Na początku było nas wielu, potem zostało tylko trzech, jednym z nas był Tadzio Krzyżanowski, nazwisko tego trzeciego uleciało mi już z pamięci. Przez cały miesiąc jeździliśmy po Mosinie zbierając wszystko, co można było spieniężyć. Kilka razy tylko dobre nogi uratowały nas przed pobiciem.

W Mosinie mieszkało wielu Niemców – wiosną 1939 byli już bardzo hardzi i nasza zbiórka bardzo im się nie podobała.

Ile zebraliśmy, najlepiej świadczy suma, jaką dostaliśmy – 900 zł. Przed wojną to były pieniądze – ogromna kwota. Za 900 zł można było kupić np. kilka krów.

Nauczyciel przekonał nas, żeby nie kupować broni, tylko po prostu przekazać pieniądze. Odbyło się to uroczyście z udziałem władz Mosiny, rodziców, kolegów. Przyjechało kilku oficerów.

Miałem wtedy 14 lat.

Historię, która związana była z dyplomem wydanym przez szkołę w Mosinie udało się jeszcze odtworzyć.

A inne? Czy można odnaleźć Helenę Serokę z Żyrardowa, która 4 maja 1939 roku przekazała w Żyrardowie niezwykle cenny dar na Fundusz Obrony Narodowej. Były to wyroby ze złota, a wśród nich zegarek z bransoletką wysadzany diamentami i brylantami.

Pani Helena dziś nosząca nazwisko ***Majchrzak*** mieszka w Milanówku.

– ... Doskonale przypominam sobie ten dzień, kiedy razem z ojcem poszłam złożyć dar. Przed spółdzielnią oszczędnościowo-kredytową oczekiwało już kilka osób. Gdy położyłam zegarek przed urzędnikiem zrobiło się zamieszanie. To była bardzo kosztowna rzecz. A ja miałam wtedy 15 lat. Wyjaśniłam, że zegarek dostałam od matki – miał być częścią mojego posagu. Za zgodą rodziców zdecydowałam się jednak, że przekażę go na Fundusz Obrony...

Nie zdążono przeznaczyć srebra na lepsze uzbrojenie armii. Wojna nadeszła szybciej. W pierwszych dniach września rozpoczęła się ewakuacja magazynów Ministerstwa Spraw Wojskowych, Biura Budżetowego i skrytek PKO, gdzie przechowywano kosztowności.

11 września nocą transport darów FON wyruszył w kierunku granicy rumuńskiej, tuż po jej przekroczeniu został zatrzymany przez żandarmerię. Uwolniony po kilkudniowych staraniach dotarł 24.IX.1939 do ambasady polskiej w Bukareszcie. Przywiezione srebro ważyło 2403 kg. Początkowo chciano je sprzedać. Nie znaleziono jednak kupców, wobec czego zdecydowano przewieść je do Francji. 5 lutego 1940 r. na pokładzie rumuńskiego statku „Suceava", pod workami ze zbożem przykrytymi tarcicą, srebro dotarło do Marsylii. W czasie rejsu dyskretną opiekę nad cennym ładunkiem sprawowali przebrani w ubrania cywilne wachmistrz Leon Bielaszewski i plutonowy Zygmunt Pantowski. W transporcie uległa uszkodzeniu jedna skrzynia, z której część monet wysypało się między worki ze zbożem. W Marsylii srebro ulokowano w skarbcach miejscowego oddziału Banku Francji. Gdy w 1943 roku wojska hitlerowskie opanowały tzw. wolną strefę francuską dary przewieziono do Casters, a po wojnie do Tuluzy. Stamtąd po 37 latach powróciły do kraju.

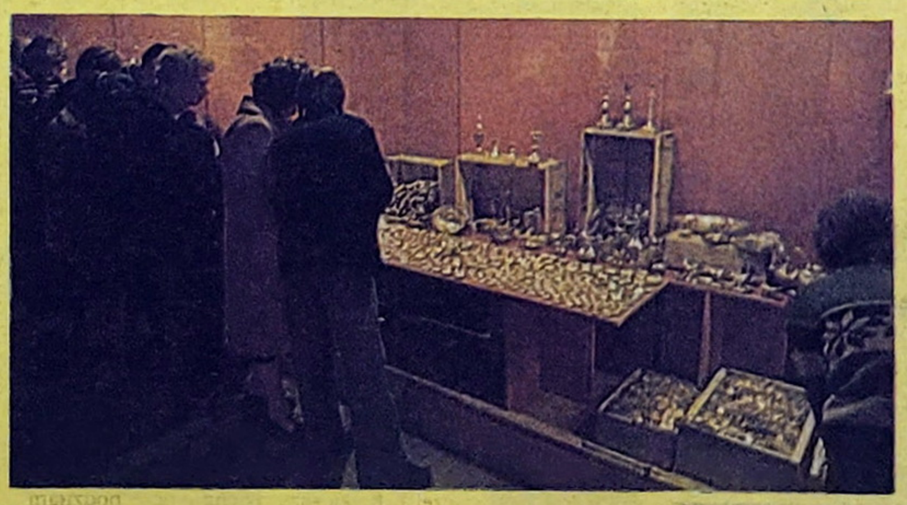

A jakie będą dalsze losy srebra?

Czy zbiór znajdzie jakieś stałe miejsce ekspozycji. Decyzje, które zapadną w tej sprawie z pewnością uwzględnią opinie wielu osób zwiedzających wystawę. Zdecydowana większość wypowiada się, aby dary umieścić na Zamku Królewskim, na drugim miejscu wymieniono Muzeum Wojska Polskiego, dalej Muzeum Narodowe i Wawel.

★ ★ ★

Wskazówki jednego z zegarków leżących w muzealnej gablotce zatrzymały się na „za pięć dwunasta". Dary na Fundusz Obrony Narodowej były, podjętą tuż przed wybuchem wojny, próbą umocnienia sił obronnych państwa. I choć nie wykorzystano ich w pełni, nie były to dary spóźnione. Nie zapomniano o nich.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. **M. Szymański**

Janusz Kłosiński jest znanym aktorem, ma poza sobą wiele ról teatralnych i filmowych. Największą popularność zdobył telewizyjnym serialem „Czterej pancerni i pies". Obecnie można oglądać Janusza Kłosińskiego w Teatrze Narodowym w Warszawie w sztuce Szekspira pt. „Jak wam się podoba".

GWIAZDOZBIÓR

Rozmowa Z JANUSZEM KŁOSIŃSKIM

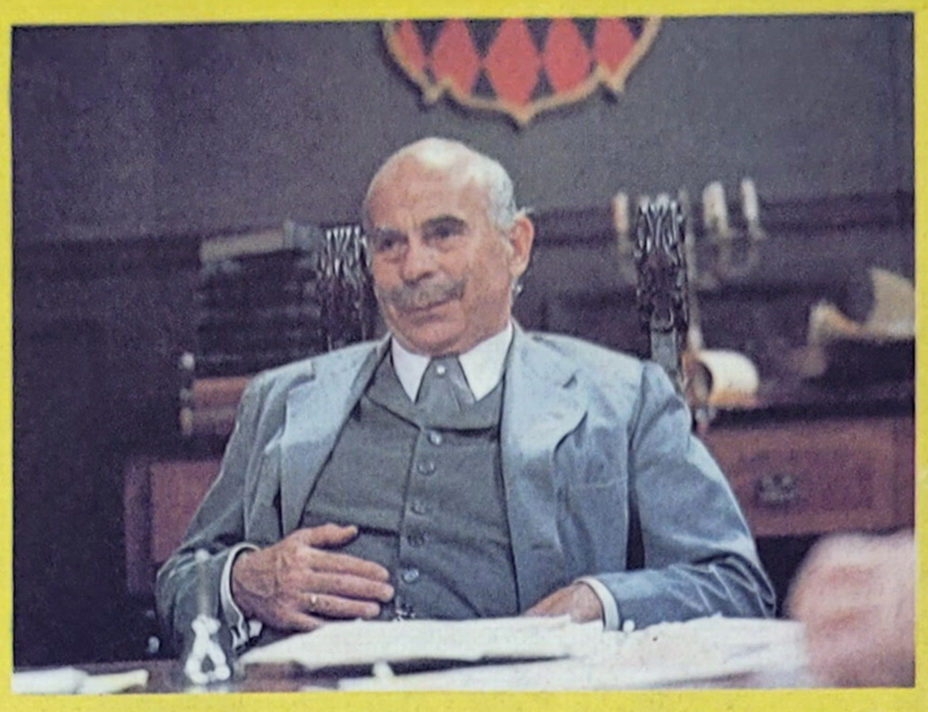

– Pana droga do teatru zaczynała się od podwórkowych przedstawień, szkolnych wystąpień na akademiach... Czy radziłby Pan młodym ludziom interesującym się teatrem zaczynać w ten sam sposób, jeżeli chcą zostać aktorami?

– Trudno powiedzieć radziłbym. Dla mnie było to spontaniczne szukanie tego rodzaju zabawy. Jeżeli są osoby z tego rodzaju zainteresowaniami, a nie ma w ich środowisku prowodyrów i przywódców, to właśnie zachęcałbym do takiej inicjatywy.

– A co powiedziałby Pan, aby odstraszyć przyszłych adeptów od tego zawodu?

– Chyba to, co myślałem o sobie. Nie chciałem zostać zawodowym aktorem, bo bardzo lubiłem teatr. Tak jak każda działalność profesjonalna aktorstwo staje się w pewnym sensie przymusem. Podobnie jak w sporcie, czy to zawodowym, czy amatorskim. Nie przestraszałbym ani nie odradzał. Raczej powiedziałbym tylko, że do aktorstwa nadają się ludzie o mocnym zdrowiu, wyjątkowej odporności psychicznej. W naszym zawodzie istnieje swojego rodzaju dążenie do rekordu. Stale jesteśmy oglądani, oceniani, bo nasza praca dzieje się na oczach społeczeństwa. Przestrzegać można tylko przed wiarą w łatwość sukcesu, szczególnie w teatrze profesjonalnym, gdzie sukces rozkłada się na szereg lat, którym towarzyszy cała droga życiowa, zmęczenie, wahania.

– Pobierał Pan naukę u mistrzów: Zlewerowicza, Węgrzyna. Co Pan jako już ceniony i znany aktor chciałby przekazać swoim młodszym kolegom?

– Przede wszystkim jedną zasadniczą rzecz: stosunek serio do swojej sztuki, do nauki zawodu. Myślę, że to można przekazać wszystkim ludziom. Wydaje mi się bowiem, z mojej obserwacji, że wielu ludzi odnosi się niepoważnie do swojego zawodu. Być może pewna lekkomyślność jest prawem młodości, ale często mam wrażenie, że jest to nieuczciwość. Podobnie w moim zawodzie, jeżeli się zdobędzie ostrogi aktorskie, to nie można odwalać ról. Sukces sceniczny polega na stosunku do pracy, jeżeli podchodzi się z zaangażowaniem i ambicją, jeżeli dąży się konsekwentnie do celu, to już nie jest źle.

– Czym jest według Pana teatr i co powinien nieść ludziom?

– Teatr powiniem mieć różne oblicza, osobiście uważam, że powinien być miejscem rozrywki. Ale jest to zależne od epoki i sytuacji. Inny będzie teatr np. podczas okupacji, a inny w czasie święta ludowego. Dla mnie jest to zabawa w życie, co wcale nie znaczy, że jest to głupia zabawa. Dlatego najbardziej sobie cenię z wszystkich gatunków teatralnych komedię, naturalnie niepłaską.

– Dla Pana teatr jest miejscem pracy, choć dla wielu ludzi jest miejscem rozrywki. Jakie wobec tego ma Pan zainteresowania poza teatrem, przy czym Pan odpoczywa!

– Zawsze jestem zwolennikiem ruchu fizycznego, lubię pojeździć na rowerze, pograć w piłkę. Lubię długie spacery w górach, a w ogóle lubię zmęczyć się fizycznie. Jeżeli chodzi o inne zainteresowania, to czytam książki z dziedziny biologii, geografii, astronomii, ale nie przepadam za fantastyką. Wolę książki naukowe, czasem coś z dziedziny filozofii. Czytam np. Platona lub „Wychowanie mówcy" Quintyliana, a w ogóle to dobrą lekturę.

– Gra Pan w teatrze, w filmie, w Teatrze Telewizji, w Radiu, gdzie czuje się Pan najlepiej?

– Lubię teatr, jest to mój dom rodzinny. Ale bardzo dobrze czuję się też w Radiu. Lubię ten teatr. W warszawskim Radiu jest bardzo miła twórcza atmosfera. Pracy jest dużo, ale aparat techniczny jest znakomity, realizatorzy dźwięku to wspaniali fachowcy. Odpowiada mi takie tempo i sposób pracy.

– Czy może Pan coś opowiedzieć na temat swojej popularności?

– Dla mnie jest dziwne, że ludzie biorą mnie za różne osoby. Twarz moja jest znana, gorzej jest z nazwiskiem. Bywam brany za pana Kowalskiego, pana Hańczę, pana Machowskiego, za Wojciecha Siemiona, z którym mnie przecież nie łączy żadne podobieństwo. Bywam też brany za osoby z życia spotykanych ludzi. Uważano, że jestem trenerem bokserskim, dowódcą wojsk, towarzyszem broni. Kiedyś, gdy jeszcze mieszkałem w Łodzi, a mieszkałem całe życie w jednej dzielnicy, jeden z moich sąsiadów, z którym przez kilkanaście lat jeździłem tym samym tramwajem do pracy, podszedł do mnie ze słowami: „Panie Kłosiński, ale pan to jest podobny do tego Kłosińskiego z telewizji, kropla w kroplę..."

– Nad czym pracuje Pan obecnie?

– Skończyłem niedawno film „Prawdziwa choinka" wg scenariusza pana Janickiego. Teraz pracujemy, a właściwie przymierzamy się z kolegami do pewnej pozycji Jerzego Zawieyskiego. Ale to jeszcze nie jest pewne. Właściwie to ciągle coś robię, z tym, że jak większość aktorów plany mam niezbyt sprecyzowane. Praca jest przecież zespołowa, propozycje przychodzą i podejmuję decyzję na bieżąco.

– Co chciałby Pan przekazać swoim czytelnikom ze „Świata Młodych"?

– Chyba to, żeby nie zmarnowali swoich sił i talentów. Żeby nauczyli się zachować jakąś harmonię w swoich upodobaniach, i obowiązkach, żeby byli zadowoleni z siebie i życia. A szczęście chyba można osiągnąć, kiedy się jest przyjaźnie nastawionym do ludzi, kiedy walcząc o swoje prawa, walczy się o prawa innych. Niech nauczą się cieszyć ze słońca, drzew, patrzeć na piękno świata.

Rozmawiał: ANDRZEJ FESNAK

Fot. **Romuald Pieńkowski**

DOM MODY światła młodych

Kamizelek ciąg dalszy

Zgodnie z umową – dzisiaj o kamizelkach nie dzierganych z włóczki lecz szytych z materiału. Również trochę nowinkowo. Bo o ile włóczkowe kamizelki istniały zawsze i noszone też były i dużo, i chętnie – to kamizelki z materiału przeżywają takie okresy... wzlotów i upadków. Ostatnimi laty był raczej upadek – na dobrą sprawę poza „pikowankami" i serdaczkami w stylu ludowym, to raczej ich nie było. W tej chwili – notuję wyraźny wzlot.

W dalszym ciągu istnieje to, co i było, czyli „pikowanki" i różne ludowe lub pseudoludowe serdaczki, ale poza tym pojawiły się kamizelki tzw. męskie. To znaczy takie, które w swoim czasie były tzw. trzecią częścią składową męskiego garnituru. Piszę – w swoim czasie – jako, że od lat garnitury męskie stały się dwuczęściowe, bo kamizelka... wyparowała i może się zdarzyć, że ktoś tak dokładnie to nawet nie wie jak powinna wyglądać. W tym roku pojawia się ona znowu (w męskich garniturach), ale ponieważ nowinki w modzie męskiej przyjmują się znacznie wolniej niż w damskiej, szansa obejrzenia jej (kamizelki) na własne oczy nie jest zbyt wielka. Tej oryginalnej, będącej osnową, na której powstała kamizelka nasza. Bo ta nasza, dziewczyńska, jest oczywiście troszeczkę inna – wzorowana na tamtej, ale nie identyczna.

Przede wszystkim jest bardziej kolorowa, do jej uszycia użyte mogą być bardzo różne gatunki materiałów. Nosi się taką kamizelkę jako oddzielny ciuszek, rodzaj wdzianeczka do spodni, spódnic, zakładanego na bluzki koszulowe, pulowerki, golfy. Może również istnieć w komplecie. Ze spodniami lub ze spódnicą, uszyta z identycznego co spodnie lub spódnica materiału. Jedno ze zdjęć przedstawia taki komplet kamizelkowo-spódnicowy. Zwróćcie przy okazji uwagę na fason spódnicy! Trzypiętrowe falbany (przebój lata) przeniesione zostały dosłownie na zimę i wykonane z dość grubej wełny. I... wyglądają wcale niemniej wdzięcznie niż w wersji kretonowej, prawda?!

RIUSZKA

W czwartym kwartale br. TV zapowiada repertuar filmowy pod znakiem obchodów 60-rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Głównym zamierzeniem programowym tego jubileuszu będzie emisja radzieckiego serialu „Droga przez mękę", opartego na cyklu powieściowym Aleksego Tołstoja, w reżyserii Wasilija Ordyńskiego. Projekcja tego trzynastoodcinkowego serialu rozpocznie się 1 listopada i potrwa do końca stycznia 1978 r. Zrealizowane z rozmachem widowisko widz polski obejrzy niemal równocześnie z radzieckimi telewidzami.

Z myślą o obchodach rocznicy Października w dalszym ciągu będzie kontynuowany cykl „Prawda czasu – prawda

ZOBACZYMY W TELEWIZYJNYM KINIE

ekranu", który zawiera najwybitniejsze radzieckie pozycje fabularne ostatniego dwudziestolecia. W ramach tego cyklu telewizja przedstawi w październiku i listopadzie m. in. filmy: „Lenin w Polsce" Siergieja Jutkiewicza, „Cichy Don" (2 części) Siergieja Gierasimowa, „Kremlowskie kuranty" Wiktora Gieorgijewa, „Martwy sezon" Sawwy Kulisza, „Człowiek znikąd" Wiktora Sokołowa, „Blokada" (2 części) Michaiła Jerszowa, „Był sobie drozd" Otara Joselianiego, „Plac Czerwony" Wasilija Ordyńskiego i „Tak tu cicho o zmierzchu" Stanisława Rostockiego.

W grudniu, cykl „Prawda czasu – prawda ekranu" przedstawi obrazy: „Oni walczyli za ojczyznę" Siergieja Bondarczuka, według Michała Szołochowa, „Gorący śnieg" Gawriła Jegiazarowa, „Solaris" (2 części) Andrieja Tarkowskiego, według Stanisława Lema.

Ponadto TV przedstawi kilka głośnych pozycji współczesnych z Kraju Rad, a wśród nich: „Premię" Siergieja Miakeliana i „Kalinę Czerwoną" Wasilija Szukszyna. **(Interpress)**

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

Zwiedzając Ponape, prawie dokładnie 81 lat od śmierci warszawianina, który Ponape traktował jako drugą ojczyznę – starałem dowiedzieć się jak najwięcej o jego działalności na tej wyspie. Najbardziej pomocnym człowiekiem w tych poszukiwaniach okazał się pan Pensile Lawrence, kustosz tutejszego minimuzeum. Nie ma ono niestety w swych zbiorach nawet fotografii polskiego naukowca. Niemniej jednak Lawrence przejął się bardzo moimi staraniami i wskazał miejsce, gdzie stał prawdopodobnie dom Kubarego oraz zaprowadził do przedstawicieli klanu, z którego pochodziła Anna. Rodzina ta z wielkim wzruszeniem oglądała fotografie swojej krewnej umieszczone

PONAPE WYSPA KUBAREGO

w polskiej książce W. Słabczyńskiego o Kubarym. Pensile poinformował mnie również, że w czasie ostatniej wojny pomnik Kubarego został przez Japończyków przeniesiony o kilkaset metrów od miejsca jego pierwotnego wystawienia. Stąd być może jego współczesny fatalny stan.

Sympatyczny kustosz zorganizował dla mnie wreszcie wyprawę do tajemniczych ruin Nan Madol, które również pierwszy naukowo badał Kubary.

Ruiny te leżą u zachodnich brzegów Ponape w odległości około 25 mil od Kolonii. Ta zadziwiająca budowla z bazaltowych łupków rozciąga się na wielu hektarach sztucznie (!) zbudowanych wysp. Dzisiaj, mimo kilku ekspedycji naukowych badacze nie są zgodni jeszcze co do okresu, w którym te budowle powstały. Różnice sięgają 3000 lat.

Oczywiście, popłynąłem tam kanu – innej drogi nie ma i przy wysokiej wodzie żeglowałem wśród owych bazaltowych ścian. Kto poukładał ciężkie, ważące niekiedy powyżej 10 ton głazy!? Jak to zrobiono!?

Oto grobowiec, z którego Kubary wydobył pierwsze ludzkie kości w Nan Madol; oto ciasna bazaltowa studnia przeznaczona podobno dla jeńców skazanych na śmierć. Oto główne wejście do pałacu dla wielmożów, z boku małe otwory w ścianach dla „szaraków". Znowu setki metrów bazaltowych ścian.

Czy jest coś jeszcze pod wodą? Podobno bardzo wiele. Czyżby była to zatopiona niegdyś Mikronezyda, Atlandyda Oceanu Spokojnego? Ciągle jeszcze wiadomo za mało. Kiedy patrzy się jednak na pradawne mury, nie ulega wątpliwości, że ich budowniczowie dysponowali znakomitą wiedzą inżynierską. Skąd przybyli oni na tę maleńką wyspę na środku Pacyfiku? Może zagadkę wyjaśnią szykujące się już kolejne ekspedycje naukowe z udziałem płetwonurków. Może oni uchylą rąbka tajemnicy?

JANUSZ WOLNIEWICZ

20 lat temu świat zamarł z wrażenia. Na orbicie okołoziemskiej znalazł się pierwszy sztuczny satelita stworzony rękami człowieka. O radzieckim sukcesie naukowym i technicznym donosiły wówczas wszystkie agencje prasowe, radiostacje radiowe i telewizyjne, wszystkie gazety świata.

Przypomnijmy ten dzień, 4 października 1957 roku, dzień, który zapoczątkował nową erę zdobywania kosmosu.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

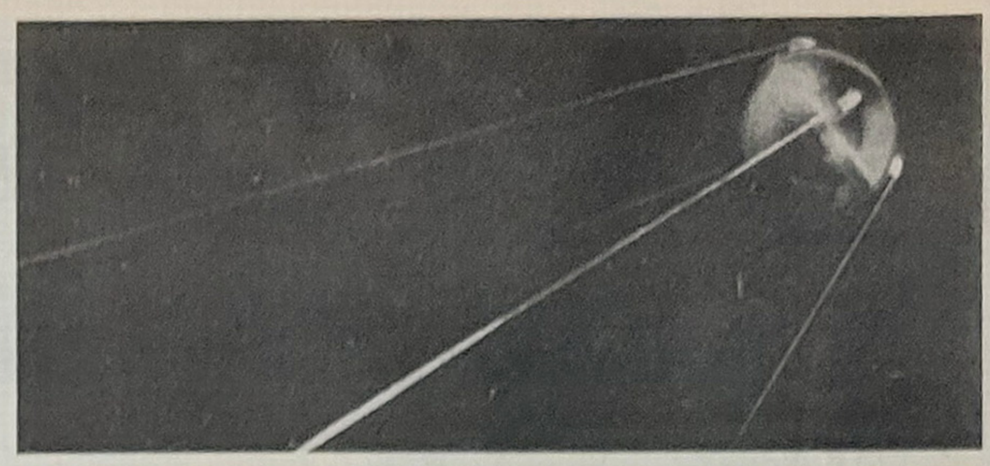

Sputnik był pierwszy

Późny wieczór, 3 października 1957 roku. Na kosmodromie trwa ożywiony ruch. We wschodniej jego części sterczy pionowo olbrzymia rakieta. W jej czubie znajduje się sztuczny satelita o kształcie kuli. Rakieta stoi już od kilku dni, czekając na start, który opóźnia się, ponieważ w górnej części stratosfery wiały silne huragany. Właśnie tego wieczoru wiatr nagle ustał, można więc przystąpić do długo oczekiwanej operacji.

W piątek, 4 października, o godzinie 2 po północy wyrzutnia rozjaśniła się nagle blaskiem reflektorów. Rakieta nośna ujawniła się w całej okazałości. U stóp rusztowania zamajaczyły ciemne sylwetki ludzi. Po chwili 35-metrowa wieża odjeżdża po szynach od rakiety. Godzina 3,15. Rozpoczyna się najtrudniejsza część operacji: napełnianie rakiety paliwem i ciekłym tlenem.

Na 5 minut przed startem w nocną ciszę kosmodromu wdziera się przejmujące wycie syren. Oznacza to, że obsługa techniczna ma opuścić platformę startową. Czerwone lampy na wieżach otaczających kołem betonowy plac zapalają się i gasną. Był to znak, że start nastąpi lada chwila.

Przenieśmy się teraz do budynku dowodzenia, do sali radiotelegrafu. Jest godzina 5.40. W sali zebrała się już spora grupa naukowców i konstruktorów. Na ekranie wyświetlane są bieżące polecenia i meldunki o przebiegu ostatnich przygotowań do wystrzelenia rakiety: „Wieża odjeżdża...", „Tlen napompowano...", „Wszystko gotowe!"... Dalekopis zatrzymał się na chwilę, po czym zaczął wystukiwać sekundy brakujące do chwili startu. Zebrani wstrzymali odruchowo oddech... 15, 14, 13, 12, ... trwało odliczanie... 5, 4, 3, 2, 1! Zapłon! Start!

Spod rakiety buchnęły kłęby dymu. Wydawało się, że nastąpiła eksplozja. Ale w chwilę później stalowy kolos drgnął i zrazu bardzo wolno, wspierając się na potężnym słupie ognia, począł oddalać się od betonowej powierzchni kosmodromu. Osiemdziesięciotonowa rakieta rwała w górę całą mocą silnika pierwszego stopnia. Trudno opisać radość, jaka ogarnęła ludzi zebranych w sali. Rzucali się sobie w objęcia, całowali, gratulowali. Udało się! Wiedzą o tym, że na pełny sukces jeszcze za wcześnie, ale trudno powstrzymać radość.

Po trzech minutach teletypista z bunkra melduje, że rakieta osiągnęła już wysokość 300 km. Pierwszy człon rakiety, po opróżnieniu paliwa, zostaje odłączony. Potem odłączony zostaje człon drugi i trzeci, aż w końcu zostaje na orbicie okołoziemskiej samotna kula – pierwszy w historii naszej cywilizacji sztuczny satelita stworzony rękami radzieckich uczonych, inżynierów, techników, robotników. Kula miała średnicę 58 cm i ważyła 83 kg.

W ośrodku kierującym operacją trwa nadal napięcie. Wszyscy oczekują meldunków od 66 naziemnych stacji obserwacyjnych i nasłuchowych położonych na całym olbrzymim obszarze Kraju Rad. Jest godzina 5,59. Satelita powinien ukazać się już nad pierwszą stacją w Aszchabadzie. Ale stacja obserwacyjna milczy. „Dlaczego nic jeszcze nie odebraliście?" – krzyczy w mikrofon dyżurny operator. „Bo nic nie słychać" – odpowiada logicznie głos z Aszchabadu.

W sali zapada cisza. Czuje się zdenerwowanie obecnych. Nikt nic nie mówi, ale wszyscy myślą o jednym: czyżby stało się coś złego? Czyżby przegapili jakiś szczegół? Wreszcie, gdy minęło 8 długich jak wieczność minut, o godz. 6,07 rozległ się uradowany głos. – Jest! Odbieramy jego sygnały!

I znowu radość. Tym razem wszyscy już wiedzą, że sukces jest całkowity. Jakby na potwierdzenie tego zgłaszają się kolejne stacje naziemne. „Mamy go"! – padają meldunki. Tak oto parę minut przed wschodem słońca, 4 października 1957 roku, rozpoczęła się nowa epoka – era podboju kosmosu!

Pora na przedstawienie samego bohatera owego pamiętnego dnia – Sputnika numer jeden. Hermetyczny jego korpus sporządzony został ze stopów aluminiowych. We wnętrzu satelity mieściła się cała aparatura wraz ze źródłem prądu elektrycznego, zanurzona niejako w gazowym azocie. Na zewnętrznej powierzchni wypolerowanej kuli ustawiona została antena radiowa w kształcie czterech prętów długości od 2,4 do 2,9 m. W czasie gdy satelita znajdował się w rakiecie, anteny te przywierały do powierzchni satelity, natomiast wyprostowały się w chwili gdy Sputnik rozpoczął samodzielny lot wokół Ziemi.

Sputnik wysyłał sygnały radiowe określonej częstotliwości, charakterystyczne „bip", „bip", „bip" ... W przypadku np. zmiany temperatury wewnątrz satelity, zmianiała się również częstotliwość wysyłanych sygnałów. Analizując odbiór tak zakodowanych informacji, satelita przekazywał stacjom naziemnym pierwsze wieści z tajemniczego, niedostępnego do tej pory kosmosu.

W kilka dni po wystrzeleniu pierwszego Sputnika profesor Siedow powiedział: *„Radziecki sztuczny satelita był pierwszym krokiem w kierunku zdobycia przestrzeni kosmicznej i przygotowania przyszłych podróży międzyplanetarnych człowieka. Teraz trzeba zbadać wpływ warunków takiego lotu na organizm żywy".*

Była to zapowiedź nowej sensacji. I rzeczywiście, w niecały miesiąc po historycznym locie Sputnika nr 1, w dniu 3 listopada z kosmodromu Bajkonur wystartowała kolejna rakieta, wynosząc na orbitę potężnego satelitę o masie aż 508,3 kg! Ale nie ciężar Sputnika nr 2 był największą sensacją, lecz jego pasażer. Na pokładzie satelity znalazł się pies, słynna Łajka.

Od tego momentu zaczyna się wspaniała seria radzieckich eksperymentów kosmicznych, prawdziwy „festiwal na orbicie". Startują coraz to nowe rakiety wynosząc w przestrzeń urządzenia o jakich się ludziom nawet nie marzyło. Świat jest wprost zaszokowany radziecką precyzją, poziomem nauki i techniki kosmicznej.

Ciekawa inicjatywa ZSRR

ZDJĘCIE Z KOSMOSU DLA KAŻDEGO

Tak wygląda z lotu ptaka Gibraltar. Zdjęcie zostało zrobione z satelity

Chciałbym poinformować wszystkich czytelników o ciekawej propozycji ZSRR kierowanej do innych krajów za pośrednictwem Komitetu ONZ d/s Pokojowego Wykorzystywania Przestrzeni Kosmicznej. Otóż Związek Radziecki zaproponował innym krajom swe usługi w dziedzinie fotografowania powierzchni Ziemi z przestrzeni kosmicznej. Propozycja radziecka ważna jest nie tylko w sensie naukowym. Informacja z kosmosu będzie pomagać w równym stopniu krajom wysoko rozwiniętym, jak i rozwijającym się. Zdjęcia dokonane przez wysokiej jakości aparaturę z radzieckich statków kosmicznych mogą zadowolić najbardziej wybrednych klientów na rynku międzynarodowym – oświadczył kosmonauta Paweł Popowicz. Fotografie z kosmosu pomogą innym krajom racjonalnie wykorzystywać bogactwa naturalne, ułatwią poszukiwania ich zasobów. Informacja kosmiczna przydatna jest w równym stopniu w gospodarce rolnej jak w meteorologii, geologii czy rybołówstwie. Oddaje ona bezcenne wprost usługi umożliwiając wczesne ostrzeżenie przed takimi katastrofami żywiołowymi jak huragany, pożary lasów, itp. bowiem na fotografiach robionych z kosmosu można wykryć szkodliwe zjawiska w momencie ich powstania.

Radzieccy kosmonauci mają już pewną praktykę w realizacji zamówień innych krajów w dziedzinie fotografowania ich terytoriów. W trakcie lotu statku „Sojuz 22" członkowie załogi na próbę rządu NRD sfotografowali wskazane miejsca terytorium tego kraju. Paweł Popowicz przypomniał, że kosmonauci na pokładach radzieckich statków kosmicznych prowadzili systematyczne fotografowanie terytorium ZSRR tak, że po raz pierwszy otrzymano ogólną kosmiczną panoramę ZSRR obejmującą obszar 5 milionów km^2. Np. na Syberii zdjęcia z kosmosu pozwoliły ujawnić i ściśle wyznaczyć granice wiecznej zmarzliny co ma duże znaczenie na trasie budowy magistrali kolejowej BAM i dla prowadzonych przez te rejony rurociągów naftowych i gazowych.

Przytoczone fakty są znakomitym przykładem tego, że loty orbitalne mogą być bezpośrednio wykorzystywane przez gospodarkę Związku Radzieckiego oraz wszystkich innych krajów.

Dariusz Mazur
prezes Klubu „Saturn" – Brzeg

odgłosów codzienności. Jak Kordian na swoim szczycie, „posąg człowieka na posągu świata", wyrażając rzecz słowami wieszcza. Gdyby miał ich odwiedzić szach Iranu lub cesarz Japonii zamiast kuzynki z Argentyny, gdyby miast generalnych porządków rodzina przygotowała pałac o ścianach z rubinów, szmaragdów i szafirów, pozostałby tak samo obojętny. W ciągu tych kilku króciutkich dni orla perspektywa, z której dotąd ogarniał życie i jego sprawy ogromnie się skurczyły, bez żalu zmieniłby wszystko, co mogłoby stać się jego udziałem na możność przebywania w zagraconym, ciasnym mieszkaniu sąsiedniego bloku pod warunkiem, że mógłby patrzeć na Monikę, mówić do Moniki, słyszeć Monikę.

A jeżeli Monika chodzi z chłopakiem? Nagle przypomnienie cieni we mgle, pożegnanie, którego był mimowolnym świadkiem. (Ukłucie w sercu). Nie, coś musiałby o tym wiedzieć. Zresztą niech nawet chodzi, Marcin nie lęka się rywala, jest od niego lepszy. Wystarczyłoby pobyć z Moniką, a sama przekonałaby się, że Marcin jest nieskończenie bardziej godny jej uczucia, od kadego innego chłopaka na świecie. Powiedziałby jej... No, jeszcze nie wiadomo co by jej powiedział, ale byłoby to coś, co musiałoby zmienić wszystko. Jeżeli Marcin przymknie teraz oczy, odnajdzie te słowa, są już bardzo blisko, prawie dotykalnie istniejące, trzeba je tylko przywołać do siebie.

Nim je odnalazł, w łazience rozległ się głuchy huk i nagle rozszumiały się wszystkie wodospady świata od Niagary począwszy a na Wodogrzmotach Mickiewicza kończąc.

– Chryste Panie, co ten chłopak znowu zmalował?

– Marcin, co się stało?

– Marcin!!!

Przywołany do rzeczywistości w ten brutalny i prozaiczny sposób, Marcin z trudem wypływał z odmętu swoich marzeń, nie słyszał nawet wody szumiącej triumfalnie, donośnie ale bez ustanku.

Załomotano w drzwi.

– Zasłabłeś?

– Mam przeczucie, Jasiu, że to wypadek!

– Wypadek w łazience? Niech mamusia nie żartuje!

– Marcin, otwieraj!

Wyciągnął rękę, otworzył, do łazienki wkroczyła w komplecie rodzina poniechawszy nawet śledzenia perypetii miłosnych uroczej Nataszy. W muszli vel konsze przelewały się istne potoki wody, a rezerwuar z bliżej nieznanych powodów zawisł fantazyjnie nad owym szumiącym kąpieliskiem.

– Ciebie tylko z oka spuścić, zaraz coś zmalujesz. Coś ty właściwie zrobił?

– Po co właziłeś na sedes?

– Taki duży chłopak, a zupełnie jak małe dziecko. Oniemiałeś w dodatku?

Pretensje rodziny Marcin pozostawił na uboczu odpowiedzi, po pierwsze dlatego, że nie bardzo zdawał sobie sprawę o co im chodzi, a po drugie z powodu tego, że wcale nie dotykał żadnego rezerwuaru i na nic nie wchodził, fakt niezaprzeczalny

Pod ciężkim wejrzeniem babci i mamy ojciec wdrapał się na krawędź wanny i balansując na jednej nodze zajrzał do rezerwuaru.

– No, tak – powiedział tylko – no, tak.

– Co się stało?

– Czemu Kazio nic nie mówi?!

– Dzwon – oświadczył zwięźle ojciec i po momencie tragicznej ciszy rozszerzył hiobową informację. – Dzwon pękł na połowę. Nic się nie da zrobić.

A woda płynęła i płynęła z denerwującym poszumem, bez chwili przerwy.

– Ja tego nie wytrzymam – jęknęła mama. – Nie mogę tego wytrzymać, to jakaś tortura po prostu. Zróbcie coś, błagam.

– Beznadziejna sprawa. Chyba, że istnieje klej do takich rzeczy, nowego dzwonu nie dostanę nigdzie i za żadne pieniądze.

– Czy ten chłopak w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Wszystko czego się dotknie, musi popsuć.

– Kiedy ja nie...

– Samo się zrobiło, tak?

– Nic nie ruszałem.

– Nie kłam! Ostatecznie każdemu coś takiego może się zdarzyć, ale wyłgiwanie się jest ohydne, ohydne, powtarzam. Miej chociaż odwagę cywilną, jeżeli brak ci rozsądku i odpowiedzialności za to, co robisz.

Cdn.

praprapradziadka Hieronima opowieści dziwnej treści

WIECZÓR 3

W PUSTYNI I W PASZCZY

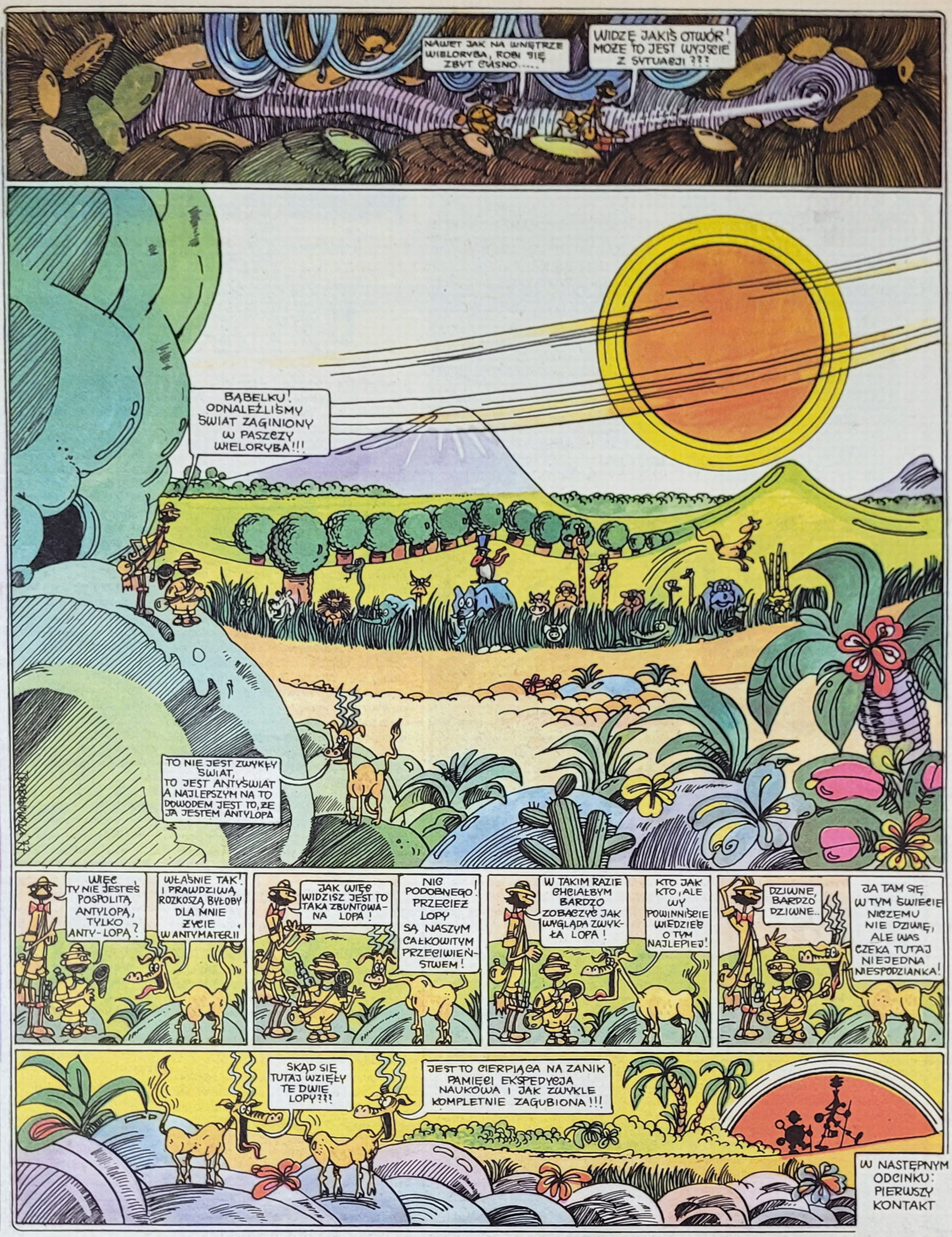

W NASTĘPNYM ODCINKU: PIERWSZY KONTAKT

ODC. 3

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 8 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 6055/G F-75

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

— Mój Boże, dawniej to się ludzie kochali – wzdychała babcia. – Biedny ten Piotr, że się żeni z tą Heleną, on jej nie kocha. On kocha Nataszę.

– On się ożeni z Nataszą – pocieszył w najlepszych intencjach babcię ojciec.

– Niech mi Kazio nie psuje przyjemności – żachnęła się seniorka rodziny. – Nie lubię wiedzieć, co będzie na końcu.

– I tak mamusia wie, bo czytała powieść.

– Nie chcę pamiętać, że czytałam. Lubię patrzeć na coś, czego nie znam. I dlatego proszę mi nie przypominać. Poczekam do następnej niedzieli i dowiem się.

Marcin nieuważnie towarzyszył wzrokiem perypetiom ekranowych postaci, niezbyt był świadomy „kto jest kto" i co właściwie robią te wszystkie osoby poprzebierane w kostiumy „ z epoki", rozgrywające swoją historię na tle stylowych wnętrz i wysmakowanych rekwizytów. Jolka stwierdziła, że Monika śmieje się z Marcina, po co to powiedziała. Jakie prawo ma Jolka sądzić to, o czym Marcin ledwie ośmiela się myśleć? Czemu fakt, że Marcinowi nie jest obojętna Monika, budzi jej gniew. Jolkę to złości, chciałaby ukryć tę złość i nie potrafi, zdradza się intonacją głosu, spojrzeniami, niecierpliwym ruchem palców, które coś niepotrzebnie szarpią, kiedy Jolka mówi, że Marcin lata za Moniką. Dziwne to wszystko, chyba jeszcze dziwniejsze niż wymyślone losy wymyślonych postaci, w życiu coś takiego w ogóle nie powinno się zdarzać, coś czego nie można zrozumieć, chociaż się tego chce.

– Czego siedzisz wykrzywiony jak po occie siedmiu złodziei? Jakbyś siedem wsi podpalił i o ósmej zamyślał. – Babcia posiadając w najwyższym stopniu podzielną uwagę potrafi całą duszą uczestniczyć w ukazywanych wydarzeniach, a nie znaczy to wcale, że nie widzi tego, co dzieje się w zupełnie innej płaszczyźnie. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że powinieneś zapisać się do dentystki. – Zazwyczaj pierwsze podejrzenie babci kierowało się w stronę bólu zębów, gdy dostrzegała wyraz cierpienia na czyjejś twarzy, i, o dziwo, rzadko się myliła, chociaż myliła się na pewno.

28 Ewa Nowacka BURZA nad ZLEWOZMYWAKIEM

Takie odezwanie kierowało uwagę rodziców na Marcina, co mogło wywołać serię kłopotliwych pytań i dochodzeń. Bezszelestnie, nieomal widmowo Marcin przemieścił się do łazienki i zasiadłszy na obrzeżu wanny wgapił się w kłąb rur nad umywalką. Myślał, chociaż trudno by mu było sprecyzować temat swoich dumań, gdyby został o nie zapytany.

Szczegół po szczególe, minuta po minucie analizował swoje spotkania z Moniką, starał się ustalić gdzie, w jakim momencie Monika mogłaby objawić jakieś silniejsze uczucia w stosunku do niego. Ale nie znajdował. Oceniając rzecz obiektywnie, Monika była raczej obojętna: przyjdź, posiedź i idź sobie, tak to mniej więcej wyglądało.

Była obojętna aż do momentu owej rozmowy po drodze do szkoły, która miała miejsce wczorajszego ranka, chociaż Marcinowi wydawała się odległa o całe wieki. Podczas tej rozmowy coś się między nimi zmieniło, nie wiadomo co i nie wiadomo, czy na dobre, czy na złe.

Tak zastanawia się zamknięty w samotności, rury harczą gniewnie, ktoś na wyższym piętrze przygotowuje sobie kąpiel, słychać jęk hydroforów i zgrzyt windy, raz po raz łupią drzwi wejściowe znajdujące się kilka pięter niżej. Jakiś bliżej nieznany fenomen fizyczny sprawia, że w łazience słychać wszystko, co się dzieje w całym bloku poczynając od piwnic, a kończąc na ostatniej kondygnacji. W pobliżu Neapolu jest system grot posiadających podobne właściwości, tłumnie nawiedzany przez turystów, łazienki Marcina nie zwiedzał dotąd nikt.

Siedzący na krawędzi wanny Marcin jest równie daleki od

Dokończenie na str. 7